

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok VI

Warszawa, dn. 7 listopada 1949 r.

Nr 45 (224)

W NUMERZE

MIKOŁAJ GRIBACZEW—Kołchoz »Bolszewik«
 KONSTANTY FIEDIN—Niezwyczajne lato
 TADEUSZ ORLEWICZ—Droga kołchozów
 PABLO NERUDA—Zbieg
 L. SOBIERAJSKI—Reymont

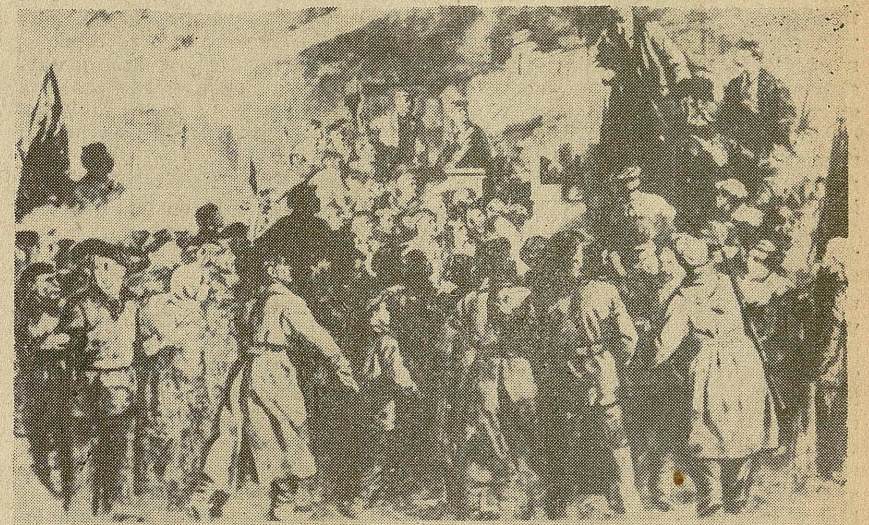
HILARY JANKIN—Wspomnienia
 EDMUND NIZIURSKI—Powieść o odbudowie
 JULIAN FUCIK—O latach i barwach
 MARIAN MUSZKAT—Mit kultury zachodu
 St. CIEŚLAK—Ludowe Chiny



Stalin na czele politycznej demonstracji Bakuńskiej w 1902 r.



Pierwsze spotkanie Lenina i Stalina na konferencji w Finlandii w grudniu 1905 r.



Lenin i Stalin w Piotrogradzie w 1917 r. Lenin wygłasza z samochodu pancernego słynną mowę w której nawiązywał do walki o zwycięstwo rewolucji socjalistycznej

WSKAZANIA NA W CZORAJ, DZIŚ I JUTRO

Szybkimi krokami zbliżała się rewolucja. Dojrzała w masach robotniczych i chłopskich świadomość konieczności obalenia Rządu Tymczasowego — burżuazyjnej agendy i złożenia władzy w ręce ludu.

Z pobliskiej Finlandii nad tętnem rewolucji czuwał Lenin. Jego pisma — synteza rewolucyjnych zadań — przygotowywały powstanie 30 sierpnia 1917 r.

„Każda rewolucja oznacza gwałtowny przełom w życiu obywateli mas ludu. Jeśli przełom taki nie dojdzie, to o prawdziwej rewolucji nie może być mowy...”

Zobaczmy, do czego dążyły masy robotników i chłopów dokonywać rewolucji? Czego oczekiwały od rewolucji? Wiadomo, że oczekiwały wolności, pokoju, chleba, ziemi. Co widzimy teraz?

Zamiast wolności zaczęto przywracać dawne bezprawie. Wprowadza się karę śmierci dla żołnierzy na froncie, oddaje się chłopów pod sąd za samorzutne zagarnięcie gruntów obszarowych. Urządza się pogromy drukarni gazet robotniczych. Zamyka się bez sądu gazety robotnicze. Aresztuje się bolszewików.

Chłopów wodzi się za nos, przekonując ich, że powinni zadowolnić się z konstytucji. Zwołanie zaś konstytuanty kapitaliści wciąż odwołują. Z ziemią poczekać do konstytuanty. Z konstytuantą poczekać do końca wojny. Z zakończeniem wojny poczekać do zupełnego zwycięstwa. Oto do czego to prowadzi. Kapitaliści i obszarnicy mają swą większość w rządzie, wprost natrząsają się z chłopów.”

(Nauki rewolucji — artykuł po raz pierwszy drukowany 30 — 31 sierpnia 1917 r. w gazecie Rabocizj (Prawda) Nr. Nr. 8 i 9).

14 WRZEŚNIA 1917 R.

„Rosji zagraża niechybna katastrofa... Kapitaliści rozmyślnie i uporczywie sabotują (psują, zatrzymują, podrywają, hamują) produkcję, licząc na to, że niestychająca katastrofa doprowadzi do bankructwa republiki i demokratyzmu.

Mineło pół roku rewolucji. Katastrofa stała się jeszcze bliższa. Bezrobocie stało się masowe... I nic się nie robi w obawie, by nie podnieść ręki na wszechwładzę obszarników i kapitalistów...”

A przecież wystarczy nieco tylko uwagi i zastanowienia by się przekonać, że sposoby walki z katastro-

fą i głodem istnieją... Oto te najważniejsze środki.

- 1) Zjednoczenie wszystkich banków w jeden bank i państwowa kontrola jego operacji czyli nacjonalizacja banków.
- 2) Nacjonalizacja syndykatów największych, monopolistycznych związków kapitalistów.
- 3) Zwierzenie tajemnicy handlowej.
- 4) Przymusowa syndykalizacja przemysłowców, kupców i przedsiębiorców w ogóle.
- 5) Przymusowe zrzeszenie ludności w Stowarzyszenia Spożywców lub też popieranie takich stowarzyszeń i kontrola nad nimi...

Półowiczności nie ma. A na tym polega główna sprzeczność naszej rewolucji. Stać na miejscu — w historii w ogóle, podczas wojny w szczególności — nie można. Trzeba iść naprzód, albo wstecz!

W Rosji XX wieku, która zdobyła republikę i demokratyzm w drodze rewolucyjnej iść naprzód nie można nie idąc ku socjalizmowi...

Rewolucja dokonała tego, że w ciągu kilku miesięcy Rosja pod względem swego ustroju politycznego dogoniła kraje przodujące. Ale to nie wszystko. Wojna jest nieubłagana. Stawia ona zagadnienie bezlitośnie ostro: albo zginąć, albo dogonić kraje przodujące i prześcignąć je również pod względem ekonomicznym. Albo zginąć, albo całą parą podążyć naprzód. Tak postawiła zagadnienie historia.

(Z broszury „Groźna katastrofa i jak się jej przeciwstawić”).

13 — 14 WRZEŚNIA 1917 R.

„Aby powstanie mogło się udać, musi się opierać nie na spisku, nie na partii, lecz na klasie przodującej. To po pierwsze. Powstanie opierać się musi na rewolucyjnym zapale ludu. To po wtóre. Powstanie opierać się musi na takim punkcie przełomowym w dziejach narastającej rewolucji, w którym aktywność czołowych szeregów ludu jest największa, a wahanie w szerebach wrogów i w szeregach słabych, połowicznych, nie zdecydowanych przyjaciół rewolucji są najsilniejsze. To po trzecie. Tym oto trzema warunkami stawiania sprawy powstania, różni się właśnie marksizm od blankizmu.

Zwycięstwo nasze jest zapewnione, albowiem lud jest już całkiem bliski rozpaczy, my zaś dajemy ca-

łemu ludowi niezawodne wyjście, bo „w dni kornilowskie” pokazaliśmy całemu ludowi znaczenie naszego kierownictwa, potem zaproponowaliśmy blokowcom kompromis i otrzymaliśmy od nich odmowę, przy czym wahanie ich bynajmniej nie ustawało.

Uświadomiwszy sobie bezwarunkową konieczność powstania robotników Piotrogradu i Moskwy dla ocalenia rewolucji i uratowania Rosji od „odrębnego” rozbioru przez imperialistów obydwu koalicji, powinniśmy, po pierwsze, przystosować swą taktykę polityczną na Naradzie do warunków dojrzewającego powstania, powinniśmy, po wtóre, udowodnić, że nie tylko w słowach uznajemy myśl Marksa o konieczności traktowania powstania jako sztuki.

Powinniśmy ułożyć krótką deklarację bolszewików, podkreślając najostrejsze niestosowności długich mów, niestosowność „mów” w ogóle, konieczność natychmiastowego działania dla ocalenia rewolucji, absolutną niezbędność całkowitego zerwania z burżuazją, zupełnego usunięcia całego obecnego rządu, całkowitego zerwania z szarymi „odrębnymi” rozbiór Rosji imperialistami angielsko — francuskimi, niezbędność natychmiastowego przejścia całej władzy do rąk rewolucyjnej demokracji z rewolucyjnym proletariatem na czele.

Tak stawiając sprawę, skupiając całą frakcję w fabrykach i koszarach, prawidłowo określimy moment rozpoczęcia powstania.

Aby zaś potraktować powstanie po marksistowsku, czyli jako sztukę, powinniśmy jednocześnie, nie

tracąc ani chwili, zorganizować sztab oddziałów powstańczych, podzielić siły, rzucić wierne pułki na punkty najważniejsze, otoczyć Aleksandrynkę, zająć Piotropawłowską, aresztować sztab generalny i rząd, wysłać przeciwko junkrom i dzikiej dywizji takie oddziały, które gotowe są zginąć, ale nie dadzą wrogowi posunąć się ku centralnym punktom miasta; powinniśmy zmobilizować robotników uzbrojonych, wezwać ich do zaciętego boju ostatecznego, od razu zająć telegraf i telefon, umieścić nasz sztab powstańczy przy centralnej stacji telefonicznej, połączyć z nim telefonicznie wszystkie fabryki, wszystkie pułki, wszystkie punkty walki zbrojnej itd.

(Marksizm a powstanie, list do C.K.-SDPRA).

26 WRZEŚNIA 1917 R.

Rosja — to kraj, drobniomieszczański. Ołbrzymia większość ludności należy do tej klasy. Wahanie tej klasy między burżuazją a proletariatem są nieuniknione. Jedynie w razie przyłączenia się drobniomieszczaństwa do proletariatu, zwycięstwo sprawy rewolucji, sprawy pokoju, wolności, otrzymania ziemi przez lud pracujący, będzie zapewnione z łatwością, pokojowo, szybko, spokojnie.

Przebieg naszej rewolucji wykazuje te wahanie w praktyce. Nie robimy więc sobie złudzeń co do partii eserowców i mienszewików, stoją mocno na swojej klasowej proletariackiej drodze. Nędza biedoty chłopskiej, okropności wojny, okropności głodu — wszystko to wykazuje masom coraz to naoczniej słuszność drogi proletariackiej, ko-

nieczność popierania rewolucji proletariackiej.

W armii, wśród chłopstwa, wśród robotników wzrasta niezadowolnienie, oburzenie, gniew. Obiecująca wszystko, a nic nie spełniająca „koalicja” eserowców i mienszewików z burżuazją rozjrzta masy, otwiera im oczy, pcha je do powstania.

Wzrasta opozycja lewicowców wśród eserowców (Spiridonowa i in.) i wśród mienszewików (Martow i in.) — ogarniając już około 40 proc. „Rady” i „zjazdu” tych partii. A w dołach, wśród proletariatu i chłopstwa, zwłaszcza wśród biedoty, większość eserowców i mienszewików to „lewicowcy”.

Doświadczenie mas, doświadczenie klas uciskanych dało im przez ten czas niezmiernie wiele, drogi zaś wodzów eserowców i mienszewików zupełnie się rozeszły z drogami mas. Właśnie na gruncie jak najbardziej konkretnego programu, o ile uda się dyskusję nad nim doprowadzić do mas, ujawni się to najdokładniej.

(Zadania Rewolucji Rabocizj Put, nr 20)

8 PAŹDZIERNIKA 1917 R.

Piszę te słowa 8 października (po przybyciu do Piotrogradu) i mało mam nadziei, że 9-go już znajdą się w rękach towarzyszy piotrogradzich. Możliwe, że się spóźni, albowiem zjazd Rad północnych wyznaczony jest na 10 października. Postaram się jednakże wystąpić ze swoimi „Radami człowieka postronnego”, mając na względzie to, że prawdopodobnie wystąpienie robotników i żołnierzy Piotrogradu i całej „okolicy” nastąpi wkrótce, lecz jeszcze nie nastąpiło.

Marks podsumował nauki wszystkich rewolucji, dotyczące powstania zbrojnego, posługując się słowami „największego w dziejach mistrza taktyki rewolucyjnej” — Dantona: „Odwagi, odwagi i jeszcze raz odwagi”.

W zastosowaniu do Rosji i do października 1917 roku oznacza to: jednoczesne i możliwe jak najbardziej nieoczekiwane i szybkie natarcie na Piotrograd koniecznie i od zewnątrz i od wewnątrz, i z dzielnic robotniczych, i z Finlandii, i z Rewla, i z Kronsztadu, natarcie całej floty, skupienie obywateli przewagi sił nad 15—20 tysiącami (może być, że więcej) naszej „gwardii burżuazyjnej” (junkrów) i naszych „wojsk Wandei” (część kozaków) itd.

Wykorzystać kombinacyjnie nasze trzy główne siły: flotę, robotników i oddziały wojskowe w ten sposób, żeby koniecznie zająć i bez względu na wszelkie straty utrzymać: a) telefon, b) telegraf, c) stacje kolejowe, d) mosty przede wszystkim.

Sformować żywoły najbardziej zdecydowane (naszych) „szturmowców” i młodzież robotniczą, a także najlepszych marynarzy w niewielkie oddziały w celu zajęcia przez nich najważniejszych punktów i w celu ich udziału wszędzie, we wszystkich ważnych operacjach, na przykład:

Otoczyć i odciąć Piotrograd, zdobyć go przy pomocy skombinowanego ataku floty, robotników i wojska — takie jest zadanie, wymagające sztuki i potrojonej odwagi.

Stworzyć oddziały najlepszych robotników, uzbrojonych w karabiny i bomby w celu natarcia na „osrodki” nieprzyjaciela i otoczenie ich (szkoła junkierska, telegraf, telefon i inne) pod hasłem: zginie my wszyscy, lecz wróg nie przejdzie.

Miejmy nadzieję, że na wypadek, jeśli wystąpienie będzie zdecydowane, kierownicy z powodzeniem zastąpią wielkie przykazania Dantona i Marksa.

Powodzenie zarówno rosyjskiej, jak międzynarodowej rewolucji zależy od dwóch — trzech dni walki (Rady człowieka postronnego).

10 PAŹDZIERNIKA 1917 R.

KC stwierdza, że zarówno sytuacja międzynarodowa rewolucji rosyjskiej (powstanie we flocie w Niemczech, jako najwyższy objaw narastania w całej Europie światowej rewolucji socjalistycznej, następne groźba zawarcia przez imperialistów pokoju w celu zdławienia rewolucji w Rosji) jak sytuacja wojenna (niewątpliwa decyzja burżuazji rosyjskiej, oraz Kiereńskiego i Ski, aby oddać Piotrograd Niemcom), jak również uzyskanie przez partię proletariacką większości w Radach — wszystko to w związku z powstaniem chłopskim oraz z przechylem się zaufania ludowego na stronę naszej partii (wybory w Moskwie), wreszcie jawne przygotowywanie drugiej kornilowszczyzny (wycofanie wojsk z Piotrogradu, ściąganie pod Piotrograd kozaków, otoczenie Mińska przez kozaków itd.) — wszystko to stawia na porządku dziennym powstanie zbrojne.

(Dokończenie na str. 2-giej)



Szturm Kremla 1917 (październik)



Lenin w 1917 r.



Październik w Moskwie

Wskazania na wczoraj, dziś i jutro

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Stwierdzając więc, że powstanie zbrojne jest nieuniknione i że całkowicie dojrzało, KC poleca wszystkim organizacjom partyjnym, by się tym kierowały i z tego punktu widzenia rozpatrywały i rozstrzygały wszystkie sprawy praktyczne (sprawę zjazdu Rad Obwodów Północnych, wycofania wojsk z Piotrogradu, wystąpienia do walki moskwičan i mińszczan itd.).

18 PAŹDZIERNIKA 1917 R.

Towarzysze! Nie miałem jeszcze możliwości otrzymania gazet piotrogrodzkich ze środy 18 października. Kiedy zakomunikowano mi telefonicznie całościowy tekst wystąpienia Kamieniewa i Zinowiewa w niepartyjnej gazecie „Nowaja Żyzn”, to nie chciałem temu wierzyć. Okazało się jednak, że wątpliwości są niemożliwe, i zmuszony jestem skorzystać ze sposobności, aby dostarczyć ten list członkom partii na czwartek wieczór lub piątek rano, milczenie bowiem wobec faktu tak niesłychanego łamistrąjstwa byłoby zbrodnią.

Co się dotyczy tego, w jakim stanie znajduje się sprawa powstania teraz, tak blisko przed 20 października, to z oddali nie mogę sądzić, w jakiej mierze sprawa została zepsuta przez łamistrąjstwo. Wystąpienie w prasie niepartyjnej. Nie ma wątpliwości, że wyrządzone zostało bardzo wielka szkoda praktyczna. W celu naprawienia tej sprawy należy przede wszystkim przywrócić jedność frontu bolszewickiego, wyrzucić łamistrąjstwo.

Ciężkie czasy. Trudne zadania. Wielka zdrada. A jednak pomimo wszystko, zadanie będzie wykonane, robotnicy się zespola, powstanie chłopskie i ostateczne zniecierpliwienie żołnierzy na froncie zrobią swoje! Mocniej zewrzyjmy szeregi, proletariacie musi zwyciężyć!

24 PAŹDZIERNIKA 1917 R.

Towarzysze! Piszę te słowa wieczorem 24 października, sytuacja jest w najwyższym stopniu krytyczna. Rzecz jasna, jak słone, że teraz zwłoka w powstaniu już naprawdę równa się śmierci.

Wszystkimi siłami zapewniam towarzyszy, że obecnie wszystko wiśni na włosku, że na porządku dziennym stoją zagadnienia, których nie rozstrzygają narady ani zjazdy (choćby to nawet były zjazdy Rad), lecz rozstrzygają wyłącznie lud, mas, walka mas uzbrojonych.

Burżazyjne natarcie kornilowszczyków, usunięcie Wierchowskiego wskazuje, że czekać nie wolno. Trzeba za wszelką cenę, dziś wieczór, dziś w nocy aresztować rząd, rozbrajać (pokonując, jeśli będą stawiali opór) junkrów itd.

Czekać nie wolno! Można stracić wszystko! Korzystać natychmiastowo z dobrego czasu: obrona ludu (nie zjazdu, lecz ludu, armii i chłopów przede wszystkim) przed rządem kornilowszczyków, który wypędził Wierchowskiego i zorganizował drugi spisek kornilowski.

Kto ma wziąć władzę? To w tej chwili nie ma znaczenia: niech weźmie ją Komitet Wojskowo-Revolucyjny, lub inna instytucja, która oświadczy, że odda władzę tylko rzeczywistym przedstawicielom interesów ludu, interesów armii (natychmiastowe zaproponowanie pokoju), interesów chłopów (ziemię wziąć trzeba natychmiast, znieść własność prywatną), interesów ludu głodnych.

Trzeba, aby wszystkie dzelnice, wszystkie pułki, wszystkie siły zmobilizowały się natychmiast i niezwłocznie wysłały delegacje do Komitetu Wojskowo-Revolucyjnego, do K. C. bolszewików, żądając bezwzględnie: w żadnym razie nie zostawiać władzy w rękach Kiereńskiego i Spółki do 25-go, w żadnym razie; zdecydować sprawę bezwarunkowo dzisiaj w wieczór lub w nocy.

Historia nie przebaczy zwłoki rewolucjonistom, którzy mogli zwyciężyć dzisiaj (i dzisiaj napewno zwyciężać), ryzykując, że jutro stracą wiele, że stracą wszystko.

Biorąc władzę dzisiaj, bierzemy ją nie przeciw Radom, lecz dla nich.

Wzięcie władzy — to sprawa powstania; jego cel polityczny wyjaśni się po wzięciu władzy.

Klęską albo formalistyką byłoby oczekiwanie na niepewne głosowanie 25-go października; lud ma prawo i obowiązek rozstrzygać takie sprawy nie głosowaniami, lecz siłą; lud ma prawo i obowiązek w krytycznych momentach rewolucji kierować swymi przedstawicielami, nawet swymi najlepszymi przedstawicielami, a nie czekać na nich.

Dowodzą to dzieje wszystkich rewolucji i byłoby bezgraniczną zbrodnią ze strony rewolucjonistów, gdyby przeoczyli odpowiednią chwilę, wiedząc, że od nich zależy ocalenie rewolucji, zaproponowanie pokoju, ocalenie Piotrogradu, uratowanie od głodu, przekazanie ziemi chłopom.

Rząd chwycie się. Należy go dobić za wszelką cenę!

Ociężanie się z powstaniem równa się śmierci.

25 października (7 listopada) padły pierwsze strzały z rewolucyjnego krążownika „Aurora”. Rewolucja rozpoczęła się.

M. Kammari

KRONIKA WIELKICH DNI

28 września 1917 r. Stalin pisał: „Cechą charakterystyczną bieżącego okresu jest przepaść nie do przebycia między rządem i masami ludowymi, — przepaść, której nie było w czasie pierwszych miesięcy rewolucji, która zaś pojawiła się w wyniku powstania kornilowskiego”.

Niektóre artykuły rozpoczyna Stalin od charakterystycznych słów: „Wydarzenia toczą się”.

Wydarzenia toczyły się szybciej niż zwykle, toczyły się zawrotnie w stosunku do pokojowego rozwoju. Klasa robotnicza Rosji w ciągu niewiele miesięcy — między lutym a październikiem — przeszła drogę kilku dziesięcioleci. W lutym oddała jeszcze władzę burżuazji — w październiku...

Do października robotnicy zrozumieli zdradę mieniszewików i całą siłą udzielili poparcia bolszewikom.

1 — 2 października: Lenin pisał z Finlandii odezwe: „Do robotników, chłopów i żołnierzy”, w której wyzwał lud pracujący Rosji do obalenia rządu Kiereńskiego i przejścia całkowitej władzy przez Rady robotnicze i żołnierskie.

3 października: Komitet Centralny partii bolszewickiej postanowił wezwać Lenina do Piotrogradu.

Drugi Zjazd Floty Bałtyckiej uchwala rezolucję, domagającą się natychmiastowego usunięcia Kiereńskiego z rządu, jako awanturnika, który hańbi i gubi Wielką Rewolucję, uprawiając bezwzględny szantaż polityczny na korzyść burżuazji”.

Zebrań żołnierzy I-go Syberyjskiego pułku piechoty ogłasza rezolucję, w której domaga się przekazania całej władzy w ręce Rad.

5 października: Zjazd strzelców łotewskich XII armii w Wendenie, partii przez 5.000-ny wiec robotników i żołnierzy, powołał jedynomyślnie uchwałę o zdecydowanej walce z Rządem Tymczasowym pod hasłem „Cała władza w ręce Rad”.

6 października: Zjazd VI-go korpusu piechoty zażądał natychmiastowego zwolnienia Zjazdu Rad i utworzenia władzy radzieckiej.

Konferencja Rad delegatów robotniczych i żołnierskich gubernii piotrogrodzkiej w Kronsztacie podejmują rezolucję odmawiającą rządowi

Kiereńskiego poparcia i domagającą się walki o władzę Rad.

7 października: Lenin nielegalnie przybywa z Finlandii do Piotrogradu.

8 października: Lenin pisze „Rady człowieka postronnego”, w których wytycza zadania i taktykę powstania zbrojnego.

W Ufie odbywa się demonstracja żołnierzy i robotników pod hasłem: „Cała władza w ręce Rad”.

9 października: Piotrogrodzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich na wniosek partii bolszewickiej postanawia utworzyć Komitet Wojskowo-Revolucyjny dla obrony Piotrogradu.

Wielotysięczny wiec robotników fabryki Obuchowskiej w Piotrogradzie uchwala rezolucję, w której domaga się obalenia Rządu Tymczasowego i utworzenia władzy Rad.

10 października: W gazecie „Raboczyj Put” (Robotnicza Droga) ukazuje się artykuł Stalina „Kontrrewolucja mobilizuje się — szukajcie się do odparcia napadów”.

Na posiedzeniu Komitetu Centralnego partii bolszewickiej uchwalono, zgłoszoną przez Lenina rezolucję o rozpoczęciu w najbliższych dniach powstania zbrojnego.

11 października: Na wiecu robotników Zakładów Putilowskich uchwalono rezolucję, domagającą się przejścia całej władzy przez Rady.

13 października: W gazecie „Raboczyj Put” ogłoszony zostaje komunikat o zorganizowaniu przy Radzie Piotrogrodzkiej oddziałów gwardii robotniczej.

Na posiedzeniu bakuńskiej Rady delegatów robotniczych i żołnierskich przyjęto dymisję Komitetu Wykonawczego mieniszewików i eserowców. Wybrano Tymczasowy Komitet Wykonawczy z bolszewikami Szumianem, jako przewodniczącym.

14 października: W Mińsku do Prezydium Komitetu Wykonawczego Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich wybrani zostali wyłącznie bolszewicy.

15 października: Komitet piotrogrodzkiej partii bolszewickiej kreśli plan poczynić, mających na celu przygotowanie powstania zbrojnego.



Rysunek E. Kibrika

Pieśń Żołnierzy Rosyjskich

Zaśpiewajmy, bracia, społem

Dziarską pieśńkę w dobry czas:

Robotników bić nie będziemy

Bo robotnik nam nie wróg!

Tylko dranie komendantów

Rozkazują nam ich bić —

Aby mundur nasz żołdacki

Pohańbiła taka rzeź!

Czyliż pójdzie brat na brata —

A wieśniacy, bracia nam —

I ruskiemu żołnierzowi

Ich mordować, hańba — wstyd!

Podajemy dosłowne tłumaczenie piosenki, jaką żołnierze rosyjscy śpiewali (konspiracyjnie) w Polsce około 1905 r. Piosenka ta świadczy o panującym już wówczas duchu rewolucyjnym wśród prostych żołnierzy rosyjskich. Tekst zaczerpnięty z czasopisma „Krytyka” — rok 1909 z artykułu: „Poezja więzienna” (L. S.).

PRZYJAŹŃ Z ZSRR, P O M O C ZSRR, PRZYKŁAD ZSRR OTO

PODSTAWOWE ŹRÓDŁA NASZYCH ZWYCIĘSTW

Mikołaj Gribaczew

Kołchoz „Bolszewik”

(Fragmenty poematu)

Robota była co się zowie i za to łatwie żniwo lecz w zbożach jeszcze tego roku wojna jak gdyby żywa lej od pocisku, kłęby drutu, napotkasz tu przy ścięcie i czasem pocisk się rozerwie i pięknie żądło śmierci.

A choć się poci pod upałem to przecie — trudna rada — nad podczelnikiem gimnazjalnym nasz starszy sierżant siada, i gdy wykroi wolną chwilę wykuwa na egzamin: dwa pi er, tyle a tyle nie mieszaj kwasów z zasadami! A kiedy zboże w elewatorze kolej na nowy trud: harmoniję odniósł do świetlicy a sam — do instytutu...

*

I nie minęło wiele czasu a zbiera się narada: na pierwszej ławie pszczelarz Akim z urzędu już zasiada, dojarka Maria koło niego — cześć przodownicy pracy! Dwaj traktorzyści — dwaj koleczy jak kubki dwa jednacy nim zbierze się prezydium do dziewcząt oko sypia. A dalej jednoręki Froł z żoną Kondratiewną — Froł został inwalidą, kiedy zdobywał Berlin a dalej Klim Łuzgin:*) odznaki też nie bylejakie — Stalingrad, Belgrad i Wien! A dalej kum i wujek.

*

„Do rzeczy!” — upomina Froł „A celuj w samo sedno!”

— „Można i w sedno... To jest jedno, uczciwie powiem wam o co: Dobrze żyjemy, lecz nie tak, jak możnaby zapragnąć: jest bydlę, owszem, jest i sad, urodzaj będzie ładny, jak mi się zdaje, tego roku, ziarna zbierzemy potąd i niby — tu zezuje w Klima — za zbiory order ktoś otrzyma...”

Albo na przykład co do dziewcząt, to widać jak na dłoni — nie warto tkać i szydełkować, koronek w domu robić; nie jestem ja w tym specjalistą ale jak plan zbierzemy, to dawaj jedwab i białysty trzewiki dawaj nam, spółdzielni!

Wiece każdy syty i odziany, lecz tu powstaje nowy problem: jesienią burze zaśpiewają, dnia tyle, co masz za paznokciem, tuż po obiedzie mrok zapada, chcesz usiąść przy gazecie, to lampa ledwie z siedem wierszy z trudem ci oświeci, nie lampa, tylko, z przeproszeniem, kaganek oświecenia!

Co robić? Ściągasz kabat, jak suśes na piec leżysz i leżysz, wśkiekły z nudów, aż obrzydliwość bierze!

A tam gdzie operę nadają lub wiedeńskiego walca albo inżynier mówi w radio wicheru zagłuszając i słyszysz o uranie czy innym elemencie lub Truman jak cygani, doktryną swoją kręci — i tyś powinien reagować przeciw wojennym podżegaczom!

A tutaj nie wiesz ani słowa — dalej tak żyć się nie opłaca!

Do czego ja to? A do tego, że wstyd przeżytki tolerować i chcesz czy nie chcesz, moim zdaniem potrzebna elektrownia!

A żeby rzecz wyłożyć jaśniej, ja takbym sformułował: Europa na nas całą patrzy i postęp wstyd hamować!”

Tu skończył. Chwila ciszy — i wybuchają spory: — Tu, bracie, trzeba kupę forsy! — Co forsa, trza motoru! — Aha — a, i motor i kabina, pod względem tego, że turbina... — Turbina będzie, są pieniądze, ale skąd wziąć człowieka, który tę rzecz wykonać zdoła, te plany i projekta?

— A syn Kuźmina Mateusza... — Nasz starszy sierżant! — Nie sierżant, ale student, do Technikum uczęszcza! — No to piszemy: niech mu dadzą z roczek urlopu w Instytucie — to ożenimy go od razu, z procentem dług możemy zwrócić... Wtem głos zabiera Klim Łuzgin:*)

„Tu słyszę śmiechki, komu śmiech można poprosić i za drzwi, a rzecz poważna. W czym tu rzecz? Trzeba się serio zastanowić, nie rzucić słów na wiatr, i ludziom nie zawracać w głowie ale obliczyć — tak i tak! Należy wezwać buchaltera, — lecz wniosku nie odrzucam:

*) Akcent na ostatniej sylabie

*) Akcent na ostatniej sylabie.

kiedy budować, jak nie teraz, tę sprawę trzeba ruszyć! Jak nie nasz kołchoz, to sąsiedzi pospiesz się, by nas wyprzedzić!”

Kowal z kąta się odzywa: „My, kuźnia, się nie przeciwiamy, i pomożemy, obujemy kiedy turbina już tu stanie!” Dziad — koniuch wtrąca — „Nie pozwólcie,

i ja mam coś do powiedzenia! Jak elektrownia, to potrzeba i prądu do niej, bez wąpienia! To prąd się przysła, owszem, by pomóc w pracy koniom, na koniach, jak wiadomo, wszak cały kołchoz stoi!” — „Ależ wymyślił! Śmiechu wartel! Te wszystkie twoje konie.

mój jeden mocny traktor przeżyje i przegoni!”

Froł wstaje:

— „Słyszysz wątpliwości.

A co powiedział Stalin?

Naprzód!

I do Berlina

Stalin nas doprowadził.

Ja, jako były szeregowiec wyłożył rzecz po prostu: naprzód na froncie przemysłowym w czołówce wytwórczości! A co do ręki — nie ustąpię nikomu oprócz kombatanów i niech dościgną mnie w robocie dwiema rękami tamci!”

Rozeszli się już po północy i miesiąc ponad wsią leciał w wysokości nieskończoną z lampek staroświecką, I aż do świtu pod urwiskiem, gdzie stała w rzeczce brodzia, szumiała woda, jak w przewodach wiatr szumi elektrycznych rzeka doczekać się nie mogła, kiedy jej będzie wolno późną godziną lecieć prądem i słonecznym być w kołchozie.

Uchwała — jutro pokosy a to — jak rozkaz do walki! Ulicą do gwiazd się uniosły ostatnie tony walca.

A słysząc w nim,

tające w palcach rytmy: —

jak rosy płoną w trawach,

jak trawy legły wszczesz

jak wonia siana gorzkawy przez konicę i perz leci wiatr pod miesiącem chłodziec spoczynek kosiarzy;

a zaraz — dojrzewa zboże a zaraz — owsy się koszą a zaraz — sprawdzimy młódkę czy plan według planu poszedł

A taniec? Nie czas na tańce przedz składając stóg! Aż utrudzony, wieczorem, sam grajek zwali się z nóg!

Upał! Zbieraj i śpiesz się nie pieść się długo snem. Niech szopa pęka od siana i trzeszczy pod ziarn brzemieniem!

I jabłka i w kadziach miód! I len — do chuba wyrosnie! ten dzień — powiada — że rok wyżywić nas ma — a i dwa,

jeżeli kołchozy!! Gdy z plomieniem nad ramieniem (sztańdard wiatr za chuba wodzi) jak marszałek z pola bitwy na czas ze zwycięstwem schodzi —

Prezes nasz na pierwszej furze równy wojewodzie za nim cała karawana: tona zboża w każdym wozie!

Zboże?

Zboże — ani słowa! W ziarnie suchym i dzwoniącym złoto nam się chowa i po kłosach kołysanych krąży ciepła krew zbożowa; W zbożu siana błyska rosa, pełen dżban się deszczem pieni, tęcza z zorzą błyskotkami — kolorami się przemienia,

hojność serca i otwartość i — co jeszcze dodać warto: wódka i przekąska także znajdują się tu na okazję!

Kurz, jak ogień, bije w koła, wieją grzywy — choćby leć galeń macha rekawami: Hej, szczęśliwej drogi, jedź!

Koń spod kopyt groch wytrząsnął tępni za nim jeszcze most i powiewa groźnie nad wsią wiatrak, który w niebie został. Poza lasem, poniżej zboża chmiel zielony smaga po kłach, krzaki pędzą, co koń wyskoczy, lustra rzek się rozprysły dokoła.

Od smarów błyszczy maszynista, sieje za sobą iskry i gwiazdki, a nad przejazdem zmierzch sino świta kładąc z pokłonem na dłoń semafora blask malachitu i po całym radzieckim kraju echo niesie od gór do morza pochwałę urodzaju:

idzie zboże!

idzie zboże!

To dobra nowina.

tłum. J. Pregerówna

KONSTANTY FIEDIN

NIE Z W Y K Ł E L A T O *

W ostatnich czasach Dibicz sam, nie wiedząc dlaczego, wpadał w niezwykłe rozdrażnienie. Po wyjściu z niewoli, gdzie pod przymusem trzeba było powstrzymać w sobie i ukrywać każdy odruch własnej woli, ogarnęło go zniecierpliwienie. Wieczne przeszkody, jakie na swojej wielkiej drodze spotykał, były nazbyt częste, aczkolwiek czasem blache. Rozwścieczony z powodu jakiejś blachostki szybko się opamiętywał jak człowiek doprowadzony do ostateczności przez komary i machający bezładnie rękami, przestając nimi machać, widząc, że to daremne.

Na ulicy od razu się uspokoił. Zajął go zmiana, jaka nastąpiła podczas godzin, spędzonych u wojskowego komisarza. Gdy wchodził do komisariatu, dzień był błękitny, nasycony słońcem i zapowiadał się upalnie. Teraz pod chłodnym powiewem wiatru w ogródkach kołysały się przestraszone drzewa, a nad ulicami zawisło mętne, szare jak popiół światło, jakby narzucono na nie jakąś posępna oponę. Na niebie kłębiły się chmury, czuło się, że musiała gdzieś spaść wiosenna ulewa może nawet połączona z gradem.

— Jeszcze tego brakuje, bym wpadł pod prysznic, — pomyślał Dibicz i przyspieszył kroku nachylając głowę przeciw wiatrowi.

Po jeździ fruwają papierki, słowa, zeszlizowane suche liście, okrucieństwa, — całe chmury wymięcionych z kominów i rynien śmieci, które z pewnością zasłabłyby całą ulicę, gdyby nie dobroczynny wiatr. Pod naporem wiatru wszystko trzeszczało i dzwoniło. — Jęk toczył się po blaszanych dachach, ze swistem kołysały się przewody telefoniczne, trzaskiły niedomknięte drzwi i furtki. Przechodnie kryli się po bramach.

Już był niedaleko, już widział wysoki dom tonący w puszystej zieleni drzew młotających się na wietrze, gdy spoza rogu, wprost na niego runęła ukośna, jakby kędzierzawa, ołowianobiała ściana wody. Z rozpędu wdarł się w tę ścianę, kierując się do bramy domu, lecz woda ogarnęła go ze wszystkich stron, zasypała od stóp do głowy ciemnymi plamami, plamy zaczęły szybko zlewać się w coraz większe zacieki na ramionach, piersiach i kolanach i Dibicz poczuł w całym ciele orzeźwiający, kojący chłód.

Zanim dobiegł do daszka przed bramą, gdzie toczyła się już grupka ludzi, był przemoczony do niki. Otrząsnąwszy się patrzył jak niezliczone ciężkie krople upadają i białymi gwiazdkami rozpryskiwały się na asfalcie, jak coraz zacieklej wyłazyły się z rynien pieniste strumienie, a mętne potoki pęczniając rozlewały się i spływały po pochylonych między jezdnią i chodnikiem.

Przed bramą mokry szofer krztał się koło długiego, błyszczącego „Benzla” starając się naciągnąć brezentową budę, ale samochód zalewała woda, czarne skórzane poduszki, radiator i skrzydła wozu były już mokre i samochód wyglądał teraz jak przestraszone zwierzę zaskoczonych przez burzę w polu.

W tej chwili z głównego wejścia wszedł pod daszek niewysoki, nawet kłopotliwy, mocno zbudowany mężczyzna o śniadej z lekka pokropionej piegami twarzy, w białej rosyjskiej kosoworotce (koszuli) z rozpiętym kołnierzykiem. Potrząsnął trzymaną w ręku furażerką i przeciągle gwizdnął.

— A to ci pompa! — powiedział z wyrażną uciechą.

Spojrzał rzeczowo tam, gdzie powinno było znajdować się niebo, a gdzie w tej chwili kłębił się pędzony przez szwał wodny chaos i Dibicz nagle ujrzał w tym bystrym spojrzeniu coś tak dumnego i żywotnego, jak gdyby ten niewielki człowieczek ani chwili nie wątpił, że jedynie od niego zależy, czy deszcz przestanie padać, czy też zacząć lać ze zdwojoną siłą. Jednocześnie Dibiczowi wydało się, że gdzieś już widział tę twarz o wystających kościach policzkowych, prostym nosie, z prostymi, zrosniętymi ciemnymi brwiami. Ale nie zdążył odświeżyć w myśli tego przełomowego wspomnienia, ani przypatrzeć się bliżej temu może znajomemu człowiekowi, gdy ten spojrzawszy na niebo nasunął na głowę czapkę i spokojnym, może nawet umyślnie wolnym krokiem wyszedł na deszcz, podszedł do samochodu, szybko i zreźnie pomógł szoferowi wciągnąć budę, usiadł obok szofera i wyruszył, nieledwie popłynął rozcinając niby lodziami swawolnie rozchukana, spleciona rzekę. Niewiadomo skąd wypadli nagle dwaj malcy w podartych majtkach i mokrych, przylepienych do ciała koszulach, z wrzaskiem brnąc po wodzie pobiegli za samochodem i szybko niby chińskie, wesołe cienie znikli za zastoną wody.

Dibicz wszedł do gmachu. Na drugim piętrze, w pokoju mającym niespodziewanie uroczyście wyglądał, zastał już z pół tuzina interesantów, a za stołem, koło drzwi z nadłamaną, mosiężną klamką krótko ostrzyżoną panienkę. Izwiłkow miał przyjechać dopiero za godzinę; zapisało się już do niego dziesięć osób i panienka rezolutnie raziła im nie tracąc czasu — bo przecież wszyscy nie będą mogli być przyjęci. Ale Dibicz postawił na swoim, — został zapisany, usiadł koło innych oczekujących i z przyjemnością poczuł, że tutaj skończy się już jego kłopoty: dobrze było mu siedzieć w wygodnym fotelu, tak ciepło było wśród tych czystych ścian, taka cisza zalegała dokoła, jakby szła w zawody z pluskiem ulewmy smagającej lustrzaną szybę okien. Wilgotna bluzna wywolała w nim lekkie dreszcze; zagłębiony w fotelu musiał się od razu zdziwnąć, gdyż nagle zobaczył samego siebie opartego o barierkę

nad dziobem parowca, a obok siebie, na samym dziobie — ogorzałego młodzieńca, który przez dłuższą chwilę kołysał w ręku zwiniętą w pierście linę, a potem z rozmachem rzucił ją na brzeg przystani; liną rozwinęła się w powietrzu długim, długim węzłem i spadała na brzeg, a kapitan przytknąwszy usta do tuby głośno krzyknął do maszynisty: Stop! Tylny! pełny!... Wtedy zaszumiała, zabulgotała, zapieniła się woda pod kołem parowca, statek zadrział, a pasażerowie tupiąc nogami rzucili się z górnego pokładu na dół, kapitan znów zakomenderował: stop! — i Dibicz ocknął się.



Zauważył, że czekający interesanci wstawali z krzeseł, a przez pokój szybko i głośno szedł ten sam kłopotliwy, ogorzały mężczyzna z furażerką w ręku, którego widział pod daszkiem. Człowiek ten z rozmachem otworzył drzwi z mosiężną klamką i znikł, a za nim znikła ostrzyżona panienka zamknięta za sobą drzwiami. Dibicz zorientował się, że widocznie zasnął głęboko. Chciał zapytać interesantów chodzących niecierpliwie po pokoju, co to za jeden, ale drzwie znów się otworzyły i panienka przylgając do mu się badawczo powiedziała:

— Towarzyszu Dibicz, proszę.

Zaskoczony tym wezwaniem trochę się zmieształ, a panienka kiwając potakującą głową powtórzyła:

— Tak, tak, towarzyszu Izwiłkow prosi właśnie was.

Poprawił na sobie bluzę ściągając szyję faldy w tył pod pasek, ruchem tym jak gdyby przemógł w sobie zniechęcenie i wszedłszy do gabinetu stanął po wojskowemu we drzwiach. Po raz pierwszy zdarzyło mu się widzieć takiego, jak mu się zdawało, wybitnego radzieckiego działacza, w dodatku nie wojskowego i sam nie wiedział, jak się ma wobec niego zachować.

Izwiłkow stał nieruchomo przy biurku i bez zmużenia powiek patrzył badawczo spod swoich zrosniętych brwi na Dibicza.

— Nazwisko wasze — Dibicz? Siadajcie, — poprosił i obszedłszy dokoła biurka usiadł pierwszy nie spuszczaając wzroku z przybyłego.

Wtem po raz drugi, teraz już z całą pewnością, Dibicz powiedział sobie, że zna tego człowieka, ale skąd — nie pamięta i skupił uwagę na jego tabaczkowo-brązowych oczach i na wianuszku piegów rozsypanych na nasadzie nosa, co tak rzadko zdarza się u ludzi o śniadej cerze. Przez chwilę obaj przyglądali się sobie wzajemnie, dopóki Izwiłkow nie zapytał lekko rozkazującym tonem:

— Czy nie dowodziliście drugim batalionem ósmego pułku strzelców?

— Tak jest. Jestem porucznikiem ósmego pułku rezerwy.

Gdyby nie wasze nazwisko, nie poznałbym was! — powiedział Izwiłkow i ni to z wyrzutem, ni to ze współczuciem pokławił głowę.

— A ja przeciwnie, jak gdyby was poznałem, tylko nie pamiętam, gdzie was widziałem. Może na froncie?

— A Łomowa pamiętacie? Szeregowca szóstej rotę waszego batalionu?

— Łomow! — poderwał się na krześle Dibicz. — Łomow — zwiadowca!

— Jaki tam zwiadowca? A jeżeli już tak, to z waszej winy, — uśmiechnął się Izwiłkow.

W tym uśmiechu jakby zwróconym do samego siebie, uśmiechu jednocześnie ironicznym i zmieszczanym Dibicz ujrzał nagle ten rys, którego było mu brak, żeby wskrzesić wspomnienie i wtedy w mgnieniu oka nie tylko poznał w Izwiłkowie swojego żołnierza, ale odnalazł w pamięci wszystko to, co w przeszłości otaczało imię Łomowa...

Było to na południowo-zachodnim froncie, podczas majowej ofensywy brusłowskiej armii, która to ofensywa wypłynęła na załamanie się ducha austriacko-węgierskich wojsk i dodała otuchy Rosjanom budząc w nich wiarę w niewyczerpane siły narodu. Dibicz, wówczas dowódca rot, przemarszerował z wojskiem wśród walk więcej niż dwieście kilometrów. Pod koniec marszu został ciężko ranny dowódca batalionu i Dibicza odznaczono niedawno orderem św. Anny, mianowano jego zastępcą. W tym czasie na wielu odcinkach Austriacy zostali zastąpieni przez oddziały niemieckie, które pospieszyły na pomoc swemu rozbitemu i cofającemu się wśród paniki sojusznikowi.

Batalion Dibicza odczuł tę zmianę przeciwnika o świcie, kiedy zdobyte poprzedniego wieczoru niewielkie wzgórze zostało nagle zasypane ogniem lekkiej artylerii, której dotychczas Austriacy nie posiadali. Sztab pułku Dibicza uprzedził go, że należy oczekiwac niemieckiego przeciwnatarcia i rozkazał mu za wszelką cenę utrzymać wzgórze. Jeszcze przed

rozpoczęciem ostrzału Dibicz kazał żołnierzom okopywać się. Przebiegając pod gradem pocisków z jednego ukrycia do drugiego zlustrował dokładnie pozycję batalionu i wysłał szóstą rotę do lasu na sam szczyt wzgórza trzymając ją tam w rezerwie jako zapasową linię obrony. Na strzelaninę nie odpowiadał, lecz przygotowywał się starannie do odparcia ataku, śledząc bacznie pozycję i ogień nieprzyjaciela. Mimo to działania Niemców ograniczyły się na tym niespodziewanym artyleryjskim ogniu i następnego ranka i przez cały dzień trwała zagadkowa cisza, jak gdyby wróg oznajmując z hukiem o swoim przybyciu, uważał, że to wystarczy.

Licząc się z możliwością nocnego natarcia Dibicz o zmierzchu wezwał do swej niedokończonych ziemianki do wódców rot, kazał im złożyć meldunki o stanie robót przy fortyfikowaniu wzgórze i zamierzając przyspieszyć ich wykonanie. Wobec oficerów czuł się nie tyle ich przełożonym, ile niedawnym równoprawnym kolegą i przyjaciół, dlatego w rozmowach z nimi prędko się zorientował, że oni, podobnie jak on sam, nie potrafili odgadnąć niejasnej taktyki przeciwnika i są tym widocznie zaniepokojeni. Wszyscy zgodzili się na to, że w tych warunkach najważniejszą rzeczą są zwiady i Dibicz postanowił, żeby wszystkie rotę, za wyjątkiem szóstej, wysłał — każda na swoim odcinku — po kilku zwiadowców mających za zadanie zbadać najbliższe pozycje wroga i nieznacznie zasięgnąć języka.

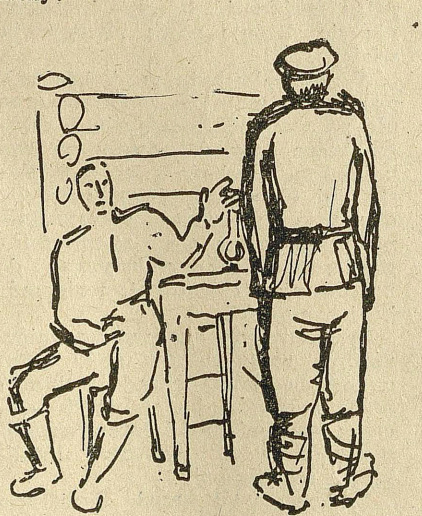
I oto zaraz po tej decyzji zatrzymawszy się przed wyjściem z ziemianki dowódca szóstej rot — partner szachowy Dibicza i podobnie jak on, podchorąży rezerwy — zameldował mu, że ma pewien kłopot. Wraz z ostatnim uzupełnieniem szeregów został włączony do rotę pewien szeregowiec, nazwiskiem Łomow, o którym donosił mu feldfebel, że podczas postojów prowadził z żołnierzami niebezpieczne rozmowy o bezcelowości wojny dla prostego narodu. Szeregowiec ten jako poborowy przeszedł przeszkolenie w Niżnym Nowogrodzie, przedtem był kreślaczem w Sormowskiej fabryce, jest piśmienny. Ostry wdech feldfebela mówił mu, że to nie bardzo czysta sprawa.

No więc co? — powiedział Dibicz po chwili zastanowienia, — wyslij go na początek na zwiady — może go to nauczy rozumu. Każ go wysłać w parze z któryś z doświadczonych zwiadowców.

Niepokój, wywołany długotrwałą zagadkową ciszą w nocy jeszcze się spotęgował. Nad ciemną ziemią zawisły niskie chmury. W chwili wyruszenia rekonesansów mrok tak zgęstniał, że nie było można dojrzeć palców wyciągniętej ręki. Po pewnym czasie na prawo od Dibicza rozległo się kilka wystrzałów, podtrzymanych natychmiast przez kulomioty. Prawie jednocześnie na lewo dała się słyszeć krótka strzelanina z ręcznej broni. Dibicz zgadywał, że ogień został wywołany przez rekonesans i podczas tej godziny oczekiwania w nieprzebranym mroku nocy wypalił więcej papierosów, niż kiedy indziej przez dobę.

Wtem wpadł do ziemianki łącznikowi meldując, że „zdobyto języka” i to w dodatku Niemca. Dibicz aż podskoczył, uściśnął żołnierza i zawołał:

— Dawać mi go tu, a żywo! A dla tych, którym się tak udało, po parze nowych butów, albo nie! Urlop poza kolejną! A niech ich diabli! To mi zuchy!



Dopiero po wybadaniu Niemca i po odesłaniu go pod konwojem do sztabu Dibicz dowiedział się, komu należy się tak hojnie ofiarowany urlop. Okazało się, że tym szczęśliwcem był ów nowicjusz z szóstej rot, jemu to udało się pochwyć Niemca żywcem, nikomu, tylko jemu i do tego w zupełności wyjątkowych warunkach.

Już świtało, gdy Dibicz mógł wysłuchać Łomowa. Łomow, jeszcze cały mokry i dygotający z zimna nawet w ziemiance, stał drobny i szcuple i dziwnie było słuchać jego spokojnego, lakonicznego i jasnego meldunku i patrzeć w jego oczy, których żółtawy blask w świetle lampy zdawał się ironicznie zapalać i gasnąć.

No cóż, — mówił Dibicz — wyprawa podwójnie udało się, bo wzięliście jeńca i przeszkodziście niemieckim szpiegom. Wyszukuj. To do brzość poczekać.

Łomow nie odpowiedział.

— Czy nie wiesz, jak masz odpowiedzieć?

— Staram się jak mogę, wasza Miłość — odpowiedział Łomow mrużąc nieznacznie oczy.

— To przynosi zaszczyt szóstej rocie.

— Nasza rota żyje zgodnie. Dziś ja — jutro kto inny.

— Miło mi to słyszeć. Ale... powiedz mi, proszę, co myślisz o wojnie? Namawiasz żołnierzy, żeby się nie bili, a sam jesteś nie od tego. Nie rozumiesz cie.

Łomow przestępował z nogi na nogę. Dibicz nie spuszczał z niego badawczych oczu.

— Czy pozwolicie mi powiedzieć?

— Ależ tak, Chciałbym wiedzieć, o czym rozprawiasz z żołnierzami.

— Uważam, że wojna — to jedna sprawa, a żołnierska wierność — druga. O wojnie każdy myśli po swojemu. To zależy od jego poglądów. A nie pomóż bratu-żołnierzowi może tylko tchórz. Nie ma w tym żadnej sprzeczności.

Łomow wypowiedział te słowa z jeszcze większym spokojem, niż wtedy, gdy opowiadał o „zasiegnięciu języka” i dlatego słowa te zabrzmiały jeszcze bardziej jasno, sucho i przekonująco. Jednocześnie Dibicz zdawał sobie sprawę, że ten jego spokój nie łatwy jest do utrzymania i że Łomow kurczy się nie tyle od zimna, ile z wewnętrznego podniecenia, a po każdym wstrząsającym nim dreszczu spokój jego jakby utrwała się i to było takie żarzące, że Dibiczem również wstrząsnął dreszcz.

Wstał i nieoczekiwanie zwracając się do żołnierza per „wy” powiedział:

— Wasze poglądy nie mnie nie obchodzą. Ale powinniście zachować je dla siebie. Teraz toczy się wojna i nikt nie ma prawa jej się sprzeciwić. W każdym razie nie wy.

Dibicz zatrzymał się. Łomow czekał w milczeniu.

I przestańcie już przemawiać przeciw tchórzostwu w pojedynkę i za tchórzostwem całej armii, całej Rosji. Bo chcieć, by wszyscy byli przeciwni wojnie, to to samo, co chcieć, by wszyscy byli tchórzami.

Łomow nadal milczał. W tym milczeniu wyczuwał się lodowaty sprzeciw i Dibicz ledwie się powstrzymał, by nie podnieść głosu:

— Nie zapominajcie, że jesteście żołnierzami.

Tak jest, — odpowiedział Łomow po żołniersku, lecz jakoś nie zupełnie poważnie, tylko z nieuchwytnym chytrym i zawstydzonym uśmiechem.

Cóż to za odpowiedź — tak jest? Przecież mówię z wami jak z człowiekiem! Czy nie zgadzacie się ze mną? Więc według was ta wojna jest niepotrzebna? Więc krew naszą przelewamy nadaremnie, tak?

Czy wolno mi powiedzieć, co myślisz?

Proszę, mówcie!

— Uważam, że przyznanie się do błęd jest odwagą, nie tchórzostwem. A czym jest wojna, jeśli nie błędem?

Dobrze, — powiedział Dibicz zapanowawszy nad sobą. — Moim obowiązkiem jako oficera i dowódcy było uprzedzić was. Zamierzając już w rucie rozmów na ten temat. I pamiętajcie, że sąd wojenny zwykły przemawiać innym językiem, niż w tej chwili ja mówię z wami. Możecie odejść.

Dibicz zapomniał o tym dziwnym szeregowcu szóstej rot i o myślach, jakie w nim obudził, — chwila nie była odpowiednia do rozmyślań o rzeczach błahych, gdyż przed wschodem słońca Niemcy ruszyli do ataku. Po dwóch dniach walki odcieśli batalion od pulku, otoczyli wzgórze i nie przestawali artyleryjskiego ognia, dopóki ranny Dibicz nie dostał się do niewoli. Szóstą rotę do ostatka walczyli na szczycie wzgórze, broniąc swojej linii, która z zapasowej stała się przednią linią...

W obecnej chwili w gabinecie Kirilla Izwiłkowi Dibicz widział w pamięci spojrzenie drobnego żołnierza, który pozostał przy swoim zdaniu. Izwiłkow starał się ukryć wesołe, ironiczne ogniki zapalające się w oczach, lecz widział, że to niemożliwe i czuł się trochę zmieszany.

Więc aż tutaj zagnał was los?

— powiedział Dibicz.

— Jaki tam los! Myśmy do tego dążyli.

Do czego? Czy do porażki? — zapytał z gorąco, lecz trochę niepewnie Dibicz.

Do porażki carskiej armii. Żeby teraz dążyć do zwycięstwa armii robotniczej i chłopskiej.

Dibicz zauważył, że uśmiech Izwiłkowi nagle znikł i po chwili milczenia powiedział, jak gdyby chcąc zmienić temat rozmowy:

— Wasza szósta rota była się dzielnie.

Tak, — potrząsnął głową Izwiłkow, — dzielnie, ale bezowocnie.

Niestety, to samo można powiedzieć o całej wojnie.

Tak uważacie? — zawołał Izwiłkow opierając się łokciami na biurku. — Mylicie się! Dzięki tej wojnie naród nasz znalazł drogę do swojej przyszłości. Czy według was to bezowocność?

— Przecież sami powiedzieliście, że wasza rota była się bezowocnie.

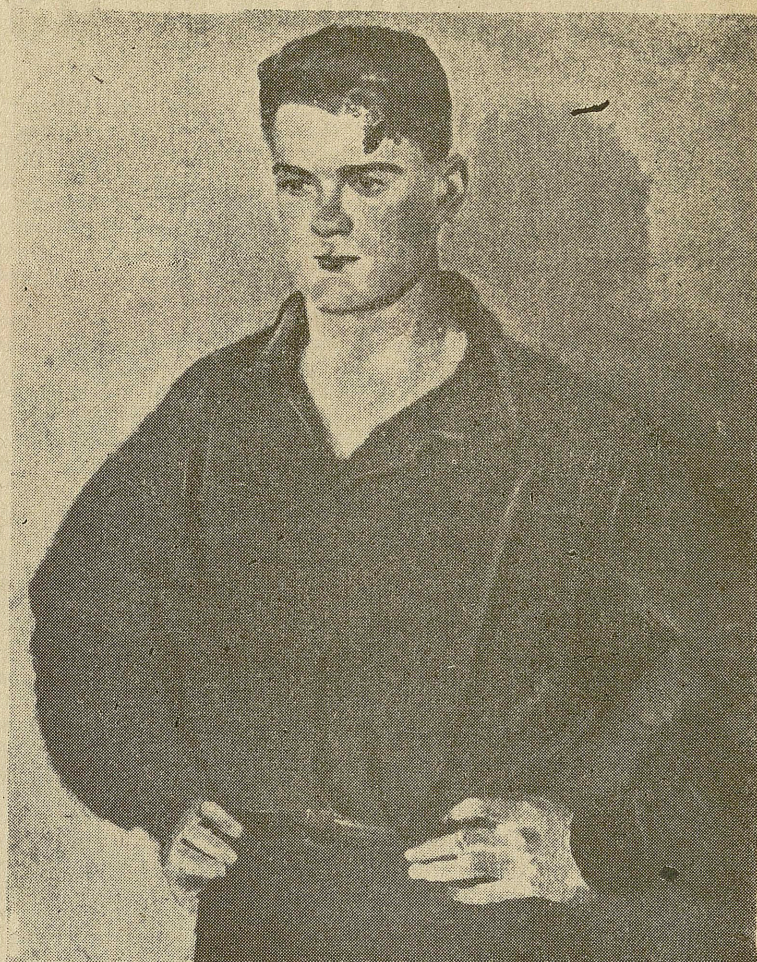
Tak, przegrała bitwę. Ale część rotę ocalała, wy o tym nie wiecie, bo wam się nie powiedziało, dostaliście się do niewoli. A ci, którzy ocalałi, utworzyli teraz nową armię. Armia ta walczy obecnie o to, co nie było celem w tamtej wojnie i nie mogło być osiągnięte, ale o to, co naród uświadomił sobie teraz — że walczy o swoje wyzwolenie.

Rozumiem — wzruszył leciutko ramionami Dibicz, — Łomow przegrał wojnę, a wygrał ja Izwiłkow.

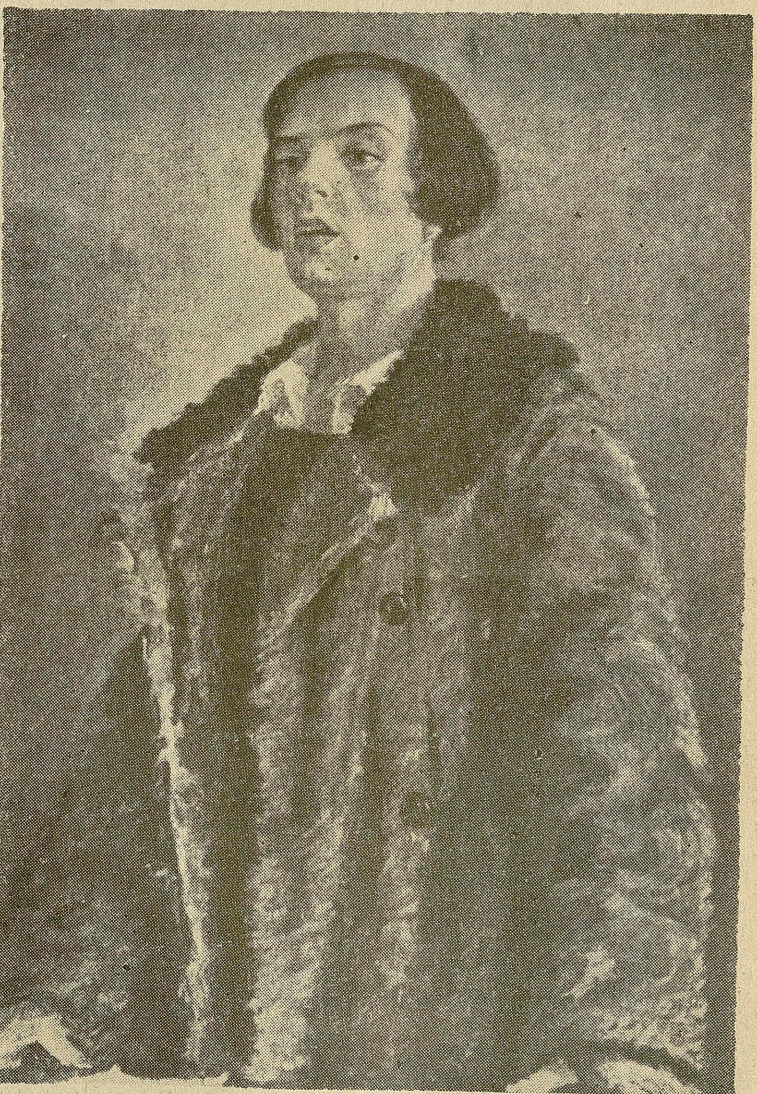
Izwiłkow uśmiechnął się, lecz natychmiast zgasił uśmiech i nawet podskoczył, znalazłszy to, co należało powiedzieć:

— Właśnie! Widzę, że wam się zdaje, że to, co działo się na wojnie,

Malarstwo radzieckie



S. Gierasimow — „Komsomolec”



G. Riazkij — prze wodnicząca kołchozu

to jedno, a to, co się dzieje obecnie, to zupełnie co innego. Ale mylicie się! Naród, który był wówczas tam, istnieje także teraz. Jego życie zmienia się, ale trwa nadal.

A więc kim jesteście obecnie? — Łomowem czy Izwiłkowem? — nie ukrywając ironii, lecz ze szczerem zdziwieniem zapytał Dibicz.

A czy jest w tym jaka różnica? — aż otwarcie uśmiechnął się Izwiłkow.

Mam wrażenie, jakbyśmy prowadzili dalej rozmowę, jaką zaczęliśmy w mojej ziemiance przed trzema laty, — powiedział Dibicz. — Tylko, żeśmy się zamienili na miejsca. Prawda? — Uchwyciwszy palcami przedmiotem bluzę odciągnął ją od ciała i zatrząsał się. — Zdaje mi się nawet, że jestem teraz równie mokry, jak wy byliście wtedy.

Ja także przemokłem, — odpowiedział Izwiłkow dotykając swego ramienia. Jesteśmy więc w podobnym położeniu. Ale mówmy poważnie. Powiadacie, żeśmy się zamienili na miejsca. Ale wszak mogliście zająć takie same miejsca jak ja, a nawet moje miejsce. Oczywiście, jeżeli podzielić moje poglądy.

Nie mam teraz czasu myśleć o poglądach, — mruknął Dibicz. Wyjął z kieszeni kartkę napisaną przez Zubinskigo i podał ją Izwiłkowi.

Czy macie rodzinę w Chwałyńsku? — zapytał Izwiłkow przeczytawszy kartkę.

Tak — matkę i siostrę. Nie widziałem ich już od pięciu lat.

To długo. Ja nie widziałem swojej matki dziewięć lat, zobaczyliśmy się dopiero teraz. Jestem tujejszy, z Saratowa — powiedział jakoś ciepło i pounie Izwiłkow. — To też rozumieć was i postaram się wam pomóc. Dam wam pozwolenie na przejazd statkiem. Jedźcie. — Ujął za pióro, ale zatrzymał się przez chwilę i zamyślił.

Zobaczcie się ze swoimi. Odpocznijcie. Ale wszystko jedno, czy tam w Chwałyńsku, czy tutaj, w Saratowie, będziecie musieli odpowiedzieć sobie na pytanie, czy zamieniliśmy się na miejsca czy nie.

Przez trzy lata nie byłem w Rosji, — jak gdyby uporając się ze skrupułami odpowiedział Dibicz. — Wszystko jest tu dla mnie takie nowe. Nie poznaję dawnych ludzi.

Ale znacie armię. Żołnierze was lubią. Przypatrzcie się czerwonoarmiejcom. To wam dużo wyjaśni i do niejednej sprawy zbliży.

Nie można tak od razu. Zarówno moje poglądy, jak i Czerwona Armia...

Jak to od razu? — zaśmiał się Izwiłkow. — Jak długo jesteście już w Rosji? Miesiąc? Ale teraz każdy dzień, co ja mówię, nawet każda godzina warta jest więcej niż miesiąc! To rewolucja, towarzyszu Dibicz! Jest się nad czym zastanowić!

Nie mam się czym zastanawiać — powiedział zdławionym głosem Dibicz. — Nie mam już mózgu! Rozumiecie? Zjadłem go. Buraki mi nie wystarczyły, musiałem na dokładkę spożywać własny mózg! Przez dwa lata dokładałem własny mózg do niemieckich buraków! Żeby nie przemienić się w bydlę, żeby nie postradać zmysłów, żeby żyć! Po to, żeby żyć, odżywiłem swój organizm resztkami mojego mózgu, swoich nerwów! Te oto kości, to oto skórę...

Zaczął szczyścić skórę na rękę i odciągać tę cienką woskową skórę od napietka. Jego spojrzenie stało się mętne, czoło jakby jeszcze bardziej uwypukliło się i pokryło się potem.

Czy wam niedobrze? — zawołał Izwiłkow zrywając się z krzesła i obiegając dokoła biurka.

Ale Dibicz już pochylał głowę, z dziwnie płynną lekkością zsunął się z krzesła i jak dziecko upadł na podłogę.

Izwiłkow z łatwością podniósł go i położył na kanapie. Podbiegł do drzwi, ostrożnie je otworzył i powiedział szepem do ostrzyżonej panienki:

Doktora! Natychmiast! Do mojego gabinetu!

*) Fragment powieści, która ukaże się niebawem nakładem wydawnictwa „Książka i Wiedza”.

TADEUSZ ORLEWICZ

DROGI BUDOWY USTROJU KOŁCHOZOWEGO

7 listopada w nocy II Ogólnorosyjski zjazd Rad rozpoczął swoje obrady. Rodziła się era Wielkiej Rewolucji Październikowej i „Republika Rad Delegatów Robotniczych, Parobczanich i Chłopskich w całym kraju od dołu do góry” — jak zapowiadał Lenin w swoich tezach kwietniowych.

Rewolucja Październikowa dokonała przez klasę robotniczą w sojuszu z biedotą chłopską dała władzę w ręce ludu. Robotnicy i szerokie masy pracującego chłopstwa stały się w Związku Radzieckim gospodarzami fabryk, ziemi i wszystkich bogactw olbrzymiego kraju, obejmującego jedną szóstą naszego globu ziemskiego.

Zjazd obwieścił przejście całej władzy w ręce Rad, uchwałił dekret o pokoju, dekret o ziemi, wybrał wreszcie pierwszy robotniczo — chłopski rząd na świecie — Radę Komisarzy Ludowych z Leninem jako przewodniczącym i Stalinem, komisarzem do spraw narodowości, na czele.

Uchwalony bezzwłocznie dekret o ziemi zniósł wszelką obszarową własność ziemi bez odszkodowania. Ziemia uległa nacjonalizacji, stała się własnością ogólnonarodową i oddana została pracującemu chłopstwu w wieczne władanie.

Przed Rewolucją kilkanaście tysięcy rodzin obszarowych znajdowało w rękach ponad 70 milionów dziesięcin najlepszej ziemi, a więc tyle ile przypadało ziemi najgorzej na 10 milionów zagrod chłopskich. Na każdego obszarownika przypadało przeciętnie po 2.300 dziesięcin, na każdą zagrodę chłopską, włączając również zagrody bogatych chłopów — przeciętnie po 7 dziesięcin, przy czym 5 milionów drobnych zagrod chłopskich, czyli połowa całego chłopstwa, posiadała nie więcej niż 1 — 2 dziesięciny ziemi na zagrodę. Małorolny chłop rosyjski skarżył się, że na jego działce „nie ma nawet gruntu kury wypędzić”, a góral kaukaski mówił: „cała moja ziemia zmieści się pod oponecz”. Piszząc na ten temat w roku 1912 Lenin konkludował: „Fakty te dowodzą w sposób oczywisty, że źródło nędzy i głodu chłopskiego tkwi w wielkiej obszarowej własności, w przeżytkach pańszczyzny, od których chłopstwo może się uwolnić jedynie w drodze rewolucji, kierowanej przez klasę robotniczą”. Rewolucja przyniosła chłopom 150 milionów dziesięcin nowej ziemi, która przedtem była w rękach cara i jego rodziny, obszarników, burżuazji i cerkwi. Chłopi bezrolni otrzymali nadziały gruntów rolnych, małorolnym uzupełniono ich liliupicie działki.

Przed Rewolucją chłopci, uciśkani i gniebieni przez rządy obszarniczo — kapitalistyczne, wyszukiwani przez bogaczy i spekulantów wiejskich, płacili rocznie około 500 milionów rubli w złoście obszarnikom z tytułu czynszów dzierżawnych. Rewolucja zniósła wszystkie obszarowicz, zwolniła całkowicie chłopów od płacenia tego milionowego haraczu.

Przed Rewolucją kapitalizm w rolnictwie i gospodarka towarowa rozwarstwiały klasowo chłopstwo, tworząc grupę kułacką, związaną klasowymi interesami z ciemiężycielami ludu pracującego miast i wsi, grupę bogaczą się na wyzysku podstawowych mas chłopskich. Grupa średniaków w rozwijającej się na wsi sprzeczności interesów klasowych najczęściej w wyniku obszarowicz i kułackiej taktyki klasowej uzupełniała szeregi biedoty chłopskiej. O sytuacji tej biedoty mówił Lenin w następujących słowach: „chłop został doprowadzony do stopy żyłowej żebraka. Mieszkał wraz z bydlęciem, nosił nędzną odzież, odżywał się lebio-

da... Chłopi głodowali chronicznie i dziesiątkami tysięcy umierali z głodu i epidemii podczas nieurodzajów, które powtarzały się coraz częściej”. Rewolucja przyniosła nacjonalizację ziemi, dając państwu i chłopom bezpośrednie możliwości przejścia do wyższych form gospodarki rolnej, zapewniając wzrost produkcji i podniesienie poziomu życia chłopów. Oczywiście nacjonalizacja ziemi nie mogła z natury rzeczy zlikwidować od razu, przecięciem noża, źródeł zaostrej się walki klasowej na wsi. Jednak dobrodziejstwa tego historycznego dekretu wkrótce stały się widoczne. Przed Rewolucją 65 proc. gospodarstw chłopskich należało do biedoty, 20 proc. — do średniaków, 15 proc. — do bogaczy wiejskich. W roku 1928 ilość gospodarstw małorolnych spadła do 35 proc., średniacy zamiast 20 proc. reprezentowali około 61 proc. gospodarstw; ilość gospodarstw kułackich spadła natomiast do 4 proc. W ciężkich porewolucyjnych walkach klasowych władza radziecka przy stałym poparciu biedoty wiejskiej prowadziła politykę ograniczania i rugowania kapitalistycznych elementów na wsi, kułaków, spekulantów, lichwiarzy. Komitety biedoty odegrały dużą rolę w roku 1918 w walce z kułactwem; one pomagały w nowym podziale skonfiskowanej ziemi, w podziale inwentarza żywego, w ściąganiu przez państwo ukrywanych przez kułaków nadwyżek żywności. Komitety te były dalszym etapem w rozwijaniu rewolucji socjalistycznej. One też przyczyniły się w początkach wojny domowej do zmiany nastrojów wśród chłopstwa, rozgarniając kułaków; wieś radziecka pod wpływem dekretu o ziemi stawała się coraz bardziej wsią średniacką. Wahający się średniak już w latach wojny domowej przybliżył się do władzy radzieckiej. VIII zjazd partii przeszedł od polityki neutralizacji średniaka do trwałego z nim sojuszu, rozstrzelając front ludu pracującego wsi przeciwko kułakom.

Ciężkie nastąpiły lata dla gospodarki radzieckiej po rozgromieniu w wojnie domowej białogwardystów i interwentów międzynarodowych. Produkcja rolna w roku 1920 nie przekraczała połowy produkcji przedwojennej. Wiele okregów nawiedził nieurodzaj. Biedniak i średniak pomagali władzy radzieckiej w wojnie domowej, walcząc o to, aby nie wrócił obszarnik, aby nie wrócił wyzysk. „W ogniu wojny domowej powstał i utrwalił się wojenno-polityczny sojusz klasy robotniczej i chłopstwa. Sojusz ten opierał się na określonej podstawie: chłop otrzymywał od władzy radzieckiej ziemię i obronę przed obszarnikiem, przed kułakiem, robotnicy zaś otrzymywali od chłopów żywność w drodze ściągania nadwyżek żywnościowych. Obecnie podstawa ta już nie wystarcza”. (Historia WKP(b), str. 282).

Partia rozumiała, że były obiektywne przyczyny do niezadowolenia wśród chłopów, przystąpiono też do opracowywania nowych linii w dziedzinie budownictwa gospodarczego. Ta nowa linia — to był t.zw. NEP — nowa polityka gospodarcza, obliczona na „zwycięstwo elementów socjalistycznych nad kapitalistycznymi, na założenie fundamentów socjalistycznej ekonomiki” (Stalin). Już po roku można było stwierdzić, że kraj przechodził pomyślnie przez okres odbudowy, że sojusz robotniczo-chłopski został na nowo podstawie wzmocony, że po zniesieniu systemu repartycji żywnościowych chłopci — średniacy podjęli znowu zdecydowaną walkę u boku władzy radzieckiej przeciwko bandom kułackim. Zlikwidowano skutki nieurodzaju, a rolnictwo

szybko poczęło posuwać się naprzód. W ostatnim w swoim życiu przemówieniu Lenin w listopadzie 1922 roku wyraził głębokie przekonanie, że „Rosja niepowska stanie się Rosją socjalistyczną”.

Lenin umarł, ale jego dzieło podjął Stalin i poprowadził Kraj Rad do budowy socjalizmu. Na odcinku rolnictwa okres odbudowy ożywił rolnictwo, kraj otrzymał c.d. rolnictwa potrzebne surowce i produkty. W przemysłowym okresie odbudowy polegała na tym, aby wprawić w ruch i odbudować istniejące fabryki. Ale przemysł miał do dyspozycji stare fabryki z przestarzałymi urządzeniami, brakowało fabryk budowy maszyn, przemysł był przeważnie przemysłem lekkim. Trzeba było więc przyjąć linię socjalistycznego uprzemysłowienia kraju, zbudować przemysł ciężki i przemysł produkcji maszyn. Interesy socjalizmu na wsi wymagały budowy fabryk traktorów, maszyn rolniczych, nowoczesnych i w dużych ilościach.

Sukcesy socjalistycznego uprzemysłowienia nie dały na siebie długo czekać. Wielki przemysł socjalistyczny w ciągu 1927 roku, a więc w pierwszym roku po zakończeniu odbudowy kraju, dał 18 proc. przyrostu produkcji w porównaniu z rokiem 1926. Sektor socjalistyczny przemysłu wzrósł w swoim ciężarze gatunkowym do 86 proc. w roku 1927, wypierając zdecydowanie sektor prywatny. Przemysł zaczął rozwijać się szybko. Inaczej rzecz się jednak miała z rolnictwem.

Chociaż w zestawieniu produkcji ogólnej rolnictwo-handlowe osiągnięto na tym odcinku poziom przedwojenny, to jednak gospodarka zbożowa dawała w sumie 91 proc. produkcji z roku 1913, a ta część produkcji zboża, która szła na zaopatrzenie miast, osiągała zaledwie 37 proc. poziomu przedwojennego, przy czym „wszystkie dane świadczą o tym, że istnieje niebezpieczeństwo dalszego spadku towarowej produkcji zboża”.

W grudniu 1927 r. Stalin omawiając na XV Zjeździe partii zagadnienie rolnictwa wyraźnie określił drogę wyjścia z sytuacji, w jakiej znalazło się rolnictwo radzieckie. Drogą ta jest przejście „od drobnych i rozproszonych gospodarstw chłopskich do wielkich i zjednoczonych gospodarstw o społecznej uprawie ziemi, w przejściu do kolektywnej uprawy ziemi na podstawie nowej wyższej techniki. Wyjście polega na tym, by drobne gospodarstwa chłopskie stopniowo lecz nieugięte, nie w drodze przymusu lecz za pomocą przykładu i przekonywania jednoczyć w wielkie gospodarstwa o społecznej, kolektywnej uprawie ziemi, z zastosowaniem mas: i rolniczych i traktorów oraz naukowych metod intensyfikacji rolnictwa. Innego wyjścia nie ma”.

Pierwsza pięciolatka stalinowska postawiła sobie dumne zadanie stworzenia w kraju takiego przemysłu, który by zdołał zreorganizować na bazie socjalistycznej nie tylko przemysł ale i rolnictwo. Socjalistyczne współzawodnictwo pracy i entuzjazm budowy nowego ładu ogarnął chłopstwo organizując kołchozy. Masy chłopskie zaczęły wyraźnie skłaniać się ku gospodarce kolektywnej. Już w roku 1928 obszar obsianych przez kołchozy gruntów wynosił 1,4 mil. ha, w roku następnym potroił się, a w roku 1930 objął powierzchnię 15 mil. ha. Rok 1929 był rokiem wielkiego przełomu i początkiem masowego ruchu kołchozowego. Do kołchozów ruszyli nie tylko biedniacy ale i średniacy. W ten sposób dojrzało wreszcie zagadnienie zlikwidowania kułactwa jako klasy. Jeszcze w roku 1927 kułacy produkowali 600 mil. pudów zboża, dając w tym 130 mil. pudów zboża towarowego, czyli czterokrotnie więcej niż sowchozy i kołchozy. Już jednak w roku 1930 kołchozy i sowchozy, dzięki poparciu władzy radzieckiej, wyposażeniu ich w traktory i maszyny rolnicze, dały przeszło 400 milionów pudów zboża towarowego, czyli trzykrotnie więcej, niż dawali bogaciej w roku 1927.

Kułacy w kołchozach widzieli — zresztą zupełnie słusznie — złamanie ich przewagi nad biedniakami i średniakami, przekreślenie dalszej możliwości bogacenia się ich kosztem. Sabotowali sprzedaż nadwyżek zbożowych, stosowali terror wobec kołchoźników, mordowali działaczy partyjnych na wsi, podpalali kołchozy lub państwowe magazyny zbożowe.

Władza radziecka w tych warunkach mogła i musiała przejść od polityki ograniczania kułactwa, do polityki likwidacji kułactwa, jako klasy na podstawie powszechnej kolektywizacji. W końcu 1929 r. kułactwo zostało wywłaszczone, a kułackie środki produkcji przeszły w ręce zrzeszonych w kołchozach chłopów. Likwidacja kułactwa odznaczała zniszczenie ostatniego bastionu wyzysku kapitalistycznego, ostatniej nadziei światowej burżuazji na przywrócenie kapitalizmu w ZSRR. Wieś radziecka podjęła niepodzielnie budowę socjalistycznej gospodarki rolnej. Ruch kołchozowy rozwijał się z potężną siłą. W roku 1940 było w ZSRR 250.000 kołchozów o łącznej powierzchni 488 milionów ha to znaczy, że chłopci radzieccy otrzymali trzy razy

więcej ziemi niż mieli razem biedniacy i średniacy w carskiej Rosji.

Pięciolatki stalinowskie przeprowadziły rewolucję techniczną na wsi radzieckiej. W roku 1940 w kołchozach i sowchozach pracowało 683.000 traktorów, 197.000 kombajnów i 228.000 maszyn ciężarowych. Te traktory i te maszyny w latach przełomu dokonały wg. słów Stalina rolę pocisków, rozsiewających stary świat burżuazyny i ścielejących drogę nowemu, socjalistycznemu ustrojowi wsi. W ramach powojennej pięciolatki nowe setki tysięcy traktorów, kombajnów, siewników, kultywatorów itp. pójdzie w służbę rolnictwa.

W mechanizacji produkcji rolnej decydującą rolę odegrały stacje maszynowo-traktorowe t.zw. M.T.S. Mimo ogromnych zniszczeń dokonanych przez hitlerowców, w pierwszych miesiącach br. w rolnictwie radzieckim pracowało 7813 MTS, a więc o 12 proc. więcej niż w roku 1940. Żaden inny kraj na świecie nie posiada tak wysokiego stopnia mechanizacji gospodarstwa rolnego, jaki osiągnięto w Związku Radzieckim. Nie ma tam właściwie takiej gałęzi gospodarstwa wiejskiego, gdzie nie stosowanoby szeroko nowych maszyn. Dzięki pracy MTS kołchozy zaoszczędziły ogromną liczbę siły roboczej. Nowa, potężna technika pośpieszyła na pomoc chłopu i zmieniała radykalnie na lepsze jego warunki pracy.

Wraz z techniką stanęła do współpracy nauka radziecka, która dzięki osiągnięciom Mieczurina, Lysenki, Dokuczajewa, Williauca zmienia geograficzne rozmieszczenie kultur, wzmacnia wydajność, prowadzi ludzką do rzeczywistego opanowania sił przyrody. Ludzie radzieccy wiążąc ściśle teorię z praktyką, stale i nieustępliwie walczą o takie przeobrażenie przyrody, aby mogła jak najwydatniej służyć człowiekowi, pamiętając bowiem wygłoszone przez Mieczurina zdanie — hasło: „Nie możemy czekać łaski od przyrody, naszym zadaniem jest żądać od niej”.

Dzięki nauce i technice, dzięki współzawodnictwu pracy rośnie produkcja i wydajność pracy w kołchozach. Już przed wojną w ciągu trzynastu zaledwie lat produkcja towarowa zbóż wzrosła więcej niż trzykrotnie, bawełny — pięciokrotnie, lnu i buraka cukrowego — dwukrotnie. Wydajność pracy w porównaniu z jej wydajnością w gospodarstwach indywidualnych wzrosła trzykrotnie a w kołchozach produkujących — pięciokrotnie.

Rośnie i olbrzymie w rolnictwie socjalistyczne współzawodnictwo pracy. Tysiące kołchoźników otrzymuje za wyniki swej pracy najwyższe odznaczenia państwowe. Nieustanny rozwój gospodarki kołchozowej, wzrost zamożności kołchoźników stwarza olbrzymie możliwości dla rozwoju kulturalnego życia wsi radzieckiej. Kołchoźnicy budują swe domy na wzór mieszkań miejskich, dbając o to, aby dom rodzinny był przestronny, jasny i czysty. Na wsi powstają kluby, kina, biblioteki, punkty opieki nad dzieckiem. Nie ma dziś na wsi radzieckiej analfabetów. Na wsi realizuje się powszechne nauczanie siedmioletnie. Biblioteka, książka, gazeta dociera do chłopów powszechnie. Jednocześnie została udośćpniiona ludności wiejskiej pełna możliwość dalszego kształcenia się. Rośnie nowa inteligencja wiejska.

Wzrost dobrobytu w kołchozach wzmacnia znakomicie zapotrzebowanie na artykuły przemysłu lekkiego, które były dotychczas na wsi unikatem. Kołchoźnik lepiej je, dostatniej ubiera się, jego potrzeby obejmują już dzisiaj powszechnie nie tylko rower, ale i aparat fotograficzny, żelazko elektryczne do prasowania, radioaparat, a nierzadko i samochód.

Setki tysięcy agronomów, mierzniczych, zootechników, setki tysięcy kierowników brygad traktorowych, polowych, hodowlanych — to coraz sprawniejsze i coraz liczniejsze kadry nowej twórczej inteligencji technicznej.

Na szereg lat przed Rewolucją Październikową Lenin przewidywał, że nadejdzie czas, gdy po zwycięstwie klasy robotniczej skarby kultury i sztuki będą „dostępne dla całego narodu, by unicestwić to oderwanie od kultury milionów ludności wiejskiej, które Marks nazwał idiotyzmem życia wiejskiego”. W kraju Rad i w jego wsiach spełniają się prorocze słowa Lenina. Dzięki władzy radzieckiej, dzięki ustrojowi kołchozowemu życie na wsi ZSRR idzie nieustannie ku najwyższym formom, zaciera się szybko granica pomiędzy miastem i wsią, likwidowane są pomiędzy miastem i wsią przeciwieństwa, które pogłębiał ustroj kapitalistyczny w interesie klas posiadających, a wbrew interesom podstawowych mas ludu pracującego miast i wsi.

Tadeusz Orlewicz

SPROSTOWANIE

W 44 nr. „Wsi” do artykułu Leonarda Sobierajskiego: „O dzisiejszą recencję „Chłopa”” Reymonta — wkraść się błąd korektorski. W szpalcie 6 zamiast: „Jak wiemy hasło to podjęli tacy mężowie z ramienia narodowej demokracji jak Władysław Grabski” — winno być: jak Stanisław Grabski.

Z malarstwa rosyjskiego

II-ej połowy XIX wieku



A. Stepanow — Sprzedaż krowy (mal. 1889)



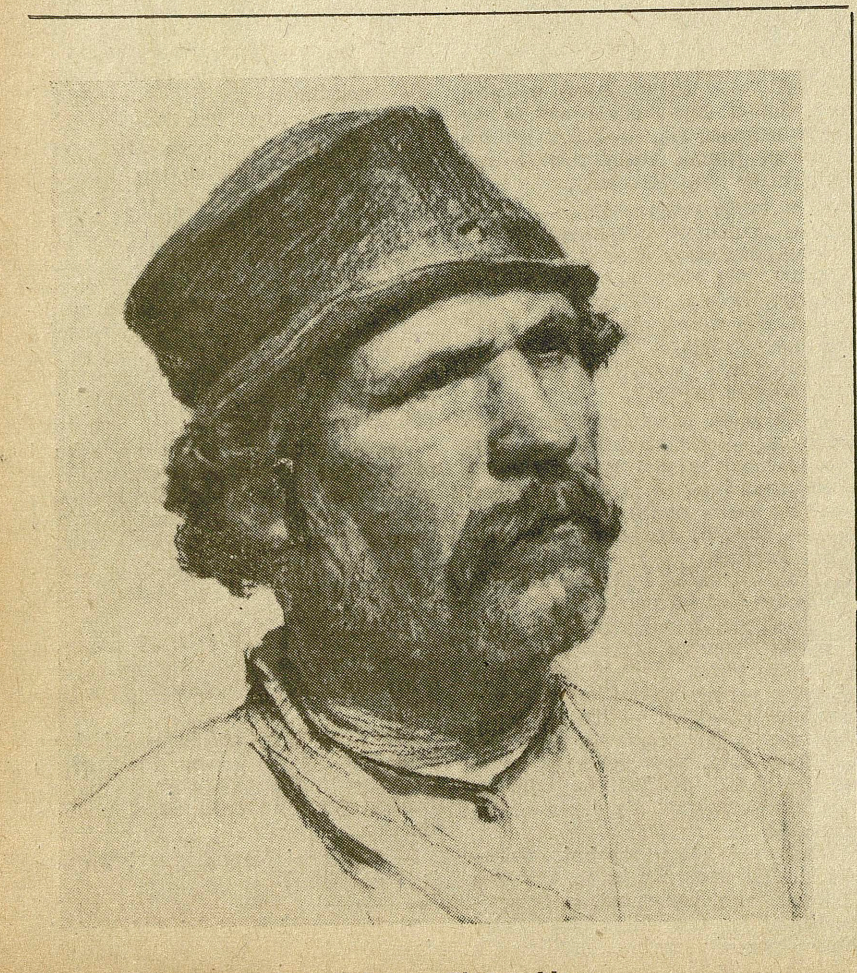
S. Koronin — Przyjacielska pogawórka mal. (1889)



S. Koronin — Po prośbie (mal. 1896)



J. Repin — Aresztowanie rewolucjonisty (mal. 1878)



Iarosenko. — Głowa chłopca.

PABLO NERUDA

Z B I E G

fragment

I

Poprzez noc rozległa, poprzez całe życie,
od łez do kart papieru, od szaty do szaty
szedłem w te mgliste dni.
Dla policji — byłem zbiegiem:
kryształową godziną,
w głębi samotnych gwiazd
mijałem miasta, lasy,
pola uprawne, porty,
od drzwi istoty ludzkiej do drzwi drugiej,
od ręki jednej istoty do innej.
Ponura jest noc, lecz człowiek
roztawił w niej znaki braterstwa,
i na oślep, przez drogi i cienie,
przychodziłem do drzwi oświetlonych, małego
gwiecznego punkciku, co należał do mnie,
do kromki chleba, której
nie pożarły wilki w lasach.

Raz w nocy przyszedłem do chaty wieśniaczej.
Nie widziałem tych ludzi nigdy przed tą nocą,
nie domyślałem się ich istnienia,
ni tego, co robili; ich godziny
nieznane były mojej świadomości.
Wszedłem, było ich wszystkich pięcioro;
wszyscy wstali,
jak podczas nocnego pożaru.
Uciszałem dłoń jedną
i drugą, spojrzałem w jedną i drugą twarz;
nie mówili mi nic te twarze: tych drzwi
nie widziałem na ulicy,
czy te nie znały mej twarzy —
i wśród tej wielkiej nocy, ledwo
przybyłem tam — poddałem się zmęczeniu:
niech wreszcie śpi niepokój mej Ojczyzny.

II

I znów uciekłem pod osłonę nocy.
Kiedy przez miasto szedłem, Andów noc,
rozłana noc otwiera różę
na moje szaty.
Była zima na Południu.
Śnieg stał
na swym wysokim piedestale, zimno
płonęło tysiącami mroźnych ostrzy.

Rzeka Mapocho była cała z czarnego śniegu.
A ja — z ulicy na ulicę niemą
szedłem po mieście tym, zbrakowanym przez tyrana.
Ach, ja — byłem milczeniem samym, patrząc
na wszystką miłość, miłość, co spadała
przez moje oczy w mojej piersi głąb.
Po cóż ulica ta, i tamta, po co głąz
tej śnieżnej nocy, po co nocna
samotność istot, i mój lud,
ciemny, nieznany, w swym przedmieściu zmarłych.
Wszystko, ostatnie okno
z tym mdłym odbłaskiem fałszywe światła,
zlepek czarnego koralu
tych wszystkich domów, wiatr
niewyczerpany mojej ziemi,
wszystko to było moje, wszystko
w milczeniu wyciągało ku mnie
usta miłości, pełne pocałunków.

III

Młode małżeństwo otworzyło drzwi,
nieznane mi dotychczas.

Ona,
złocista jak czerwcowy dzień,
a on — inżynier o wysokim czole.
Odtąd dzieliłem z nimi chleb i wino.
Po trochu
bliski się stałem im, dotychczas nieznajomym.

Mówili do mnie:
„Byliśmy rozdzieleni,
niezgoda nasza była ostateczna,
dziś połączyliśmy się, by cię przyjąć,
dziś razem czekamy na ciebie.”

Tam w małym
domku, złączeni,
wybudowaliśmy twierdzę milczenia.
Ja byłem niemy nawet we śnie.
Było to w sereu
miasta, mogłem prawie słyszeć
krok zdrajcy obok ścian,
co nas dzieliły, i słyszałem
ohydne głosy strażników
i ich złodziejski śmiech, i ich pijackie
wrzaski, miotane wraz z kulami
w ciało ojczyzny mojej.
Czkanie Holgersa i Pobletsza
w ciszy się prawie o mnie ocierało,
ich krok rozwlekły prawie że dotyka,
mojego serca i palenisk jego:
oni na śmierć mych bliskich posyłali,
a ja chronilem zdrowie me jak broń.

I znowu w nocy: „Zegnaj mi, Ireneo,
zegnaj, Andrzeju, zegnaj, nowy przyjacielu
zegnajcie, rusztowania, zegnaj, gwiazdo,
zegnaj i ty, nieukończony domu,
coś naprzeciwko mego okna często
zapełniał się urojonymi postaciami.
Zegnaj, szczyty górskie, który zawsze
wieczorem ogarniał wzrokiem.
Zegnaj, neonu światło, dającego
znak nowej nocy.”

IV

Innym, razem, innej nocy, szedłem dalej:
przez pasmo gór nadbrzeżnych
i przez szeroki brzeg doszedłem aż do Pacyfiku
i aż do ulic krętych,
uliczek i zaułków Valparaiso.
Wszedłem do domu marynarzy,
tam matka ich czekała na mnie.

Wiedziała już od wczoraj, powiedziała:
„Syn mówił mi o panu; pańskie imię
przebiegło mnie jak dreszcz.
Rzekłam do syna: — Jakąż my możemy
zapewnić mu wygodę?
— On jest nasz, jest z biednych,
odpowiedział syn.
On się nie śmieje z nas,
nie gardzi naszym ubogim życiem,
lecz je podnosi wzwyż i broni go. —
Więc powiedziałałam: Dobrze —
i odtąd dom ten pańskim domem jest.”
Nikt mnie w tym domu nie znał,
widziałem czysty obrus, wody dzban
czystej, jak te żywoty, które w głębi
nocy szły ku mnie, skrzydła kryształowe.

Spojrzałem: stół był już nakryty
chleb, wino, woda, —
i dobry zapach ziemi i czułości
zwiłzył mój żołnierski wzrok.
Przy tym oknie Valparaiso
spędzałem dni i noce.
A marynarze z mej nowej siedziby
chodzili co dzień na poszukiwanie
statku, by płynąć na morze.

tłum. MARIA LEŚNIEWSKA

Oszukano

Ich raz, i drugi, wiele, wiele razy.
Nie chciała przyjść ich „Atomena”,
ani „Sultana”. Wyjaśnili mi,
że nabijały kabzy różnych kapitanów.
Inni dawali więcej.

Wszystko było zgniłe.

jak w pałacu Santiago.
Tu otwierały się portfele
kaprała, sekretarza,
nie takie duże, oczywiście, jak
samego Prezydenta, lecz i oni
pili ubogich krew!

Smutna republika, smagana
jak suka, przez złodziei,
wyjąca w samotności wielkich dróg.
bita pałkami policjantów.
Smutny naród, „zgonalizowany”,
wydany przez oszustów
na łup donosiela,
na licytację wystawiony
na rogach ulic.
Smutna republika we władzy
tego, co sprzedał własną córkę
i wydał własną swą ojczyznę
zranioną, nagą, z rękami w kajdanach
Dwaj marynarze powracali
i odchodzili znów, by znów ładować
na swoje plecy worki: żywność,
banany — tęskniąc za słonością fal,
za chlebem morz i za wysokim niebem

V

Mieszkaniec Chile żyje
w brudzie, smagany wiatrem,
ciemny syn twardej ojczyzny.
Okna w kawałkach, połamane dachy,
zniszczone ściany, trędowate wapno,
zapadłe w ziemię drzwi, gnijące deski
podłogi,
Valparaiso, wstrętne różo,
zapowietrzony sarkofagu morski,
nie rań mnie twymi ulicami z kołców,
nie każ mi patrzeć na dziecko zranione
twa nędzą — nędzą potwornej kałuży.
Poprzez ciebie boli mnie mój naród,
cała moja amerykańska ojczyzna,
wszystko, z czego cię odarto,
pozostawiając cię w przepasce z piany
niby boginie nędzną i rozdartą.
Do twej rozbitej drogłej piersi
Szczą wygłodniałe psy.

VI

Tak więc co noc, co noc,
o długiej porze, kiedy ciemność jest
głęboka na wybrzeżu całym Chile,
błądziłem — zbieg — od drzwi do drzwi.
Inne ubogie domy, inne ręce
w każdej zmarzszce mej ojczyzny
czekały na me przyjście.

Przechodziłeś

tysiące razy przez te drzwi, co nie mówiły, tobie nic,
i przez ten rozwalony mur, i przez
te okna o wędgnących kwiatkach.
Była to dla mnie tajemnica,
tętniąca życiem tajemnica —
była w pokładach węgla
męczeństwem przesiąkniętych,
w portach wybrzeża naprzeciwko
archipelagu Antarktydy,
posłuchaj, była może w tej
dźwięcznej ulicy, w muzyce
ulic w południe,
albo w tym oknie obok parku,
co się od innych niczym nie różniło,
i co czekało na mnie
z talerzem ciepłej zupy
i z sercem na obrusie.

Wszystkie drzwi należały do mnie,
wszyscy mówili: „Bracie nasz,
wejdź do naszego ubogiego domu” —
podczas gdy ma ojczyzna się plamiła
tyloma torturami,
jak tłocznia gorzkim winem.
Przyszedł mały blacharz,
młode dziewczyny z matką,
nędźnie ubrany wieśniak,
człowiek co robił mydło,
cicha poetka, i młodzieniec
przybity, niby owad,
do samotnego biurka.
Przyszli. Na drzwiach ich był
tajemny znak, a klucz —
chroniony niby wieża,
żeby mój wejść zniemacka
w nocy, wieczorem, w dzień —
i nie znając nikogo
mówilem: „Bracie, wiesz już, kto ja jestem
wydaje mi się, że czekałeś na mnie.”

VII

Co możesz ty, przeklęty, przeciw powietrzu?
Co możesz ty, przeklęty, przeciw wszystkiemu
co kwitnie i powstaje, mleczy i spogląda,
i czeka na mnie, i oskarża ciebie?
Przeklęty, dzięki twoim zradom
masz tylko tych, których kupiłeś,
których pieniędzmi musisz wciąż podlewać
Przeklęty, w twojej nocy jest
wygnac, uwięzić, torturować,
ale się śpiesz z zapłatą,
zanim kupieni się opamiętają.
Nie znajdziesz snu
pośród najemnych karabinów,
póki żyć będą na tonie mej ojczyzny
ja, uciekinier nocny.

Jakże jest smutne, nikłe i przelotne
twoje zwycięstwo! Gdy Aragon i Erenburg,
Picasso i poeci
Paryża, i odważni
pisarze Wenezueli, i inni, bez końca,
są ze mną —
ty, przeklęty,
jesteś z Escanilla i z Cuevas,
z Paluchonneaux i z Pobletsem.

A ja — przez porty, których mój naród broni,
w grotach, których mój naród strzeże,
na mej ojczyźnie piersi, na jej gołęmb skrzydle
śnie, śnie, obalam granice.

VIII

Wam wszystkim,
milczące nocne istoty,
któreście brały w ciemnościach mą dłoń,
wam,

w światłości nieśmiertelnej szlaki gwiazd.
żywotów chleb, tajemni bracia,
wam wszystkim
powiadam: nie ma dziękczynienia



nie nie może napelnić kielichów
czystości,
nie nie może
zawrzeć całego słońca w sztandarach
wiosny niezwykłej
jak wasza niema godność.

Myślę
tylko
że może czasem byłem godny takiej
prostoty, tak czystego kwiatu,
że może wprost się znalazłem z wami —
miększym ziemi, chlebem, śpiewem —
w stop naturalny, który wie,
skąd bierze się, czyj jest.
Nie jestem dzwonem tak odległym,
ani kryształem skrytym tak głęboko,
byś nie mógł mnie odczytać, jestem tylko
ludem, ukrytym wejściem, ciemnym chlebem,
a kiedy mnie przyjmujesz, to przyjmujesz
samego siebie, albo tego gościa,
którego wełaz zabijają,
a on się wełaz odradza.

Do was wszystkich,
tych wszystkich, których nie znam, wszystkich tych,
co nie słyszeli mojego imienia,
do tych, co żyją nad rzekami,
u stóp wulkanu, w cieniu
siarkowym miedzi, — rybaków, oraczy,
blekitnych Indian znad brzegów
jezior iskrzących się jak szkło,
do szewca, który się zamyślił właśnie,
podeszwę starą dłonią przybijając,
do ciebie, coś nie wiedząc czekał na mnie —
należę, was poznaję i wam śpiewam.

Ziemi, Ameryko, uroczysta
plantacja, czerwone pasmo górskie,
synowie, bracia, wykuszni
przez dawne burze,
zjednoczmy wszystkie żywe ziarna,
zanim do ziemi wróca,
niech nowe kłosa, co wyrosnąć mają
usłyszą twoje słowa
i niech je ciągle powtarzają,
niech je śpiewają dniami i nocą,
niech się pogryzą, niech się pożrą
i niech wędrują popod ziemią,
niechaj się staną cisza,
niech się zaryją pod kamienie,
niech napotkają nocne bramy,
niechaj się jeszcze raz urodzą,
rozmnożą się i będą
jak chleb i jak nadzieja,
jak wiatr nad okrętami.

Oto me ręce zagubione,
są niewidoczne, ale ty
widzisz je poprzez noc,
poprzez niewidzialny wiatr.
Daj mi twe ręce, widzę je
na cierpkich piaskach
naszej amerykańskiej nocy
i sięgam po twą rękę, i po twoją
i tę, i tamtą, inną jeszcze dłoń,
tę, co podnosi się, by walczyć
i tę, co staje się nasieniem.

Nie czuję się sam wśród nocy,
pośród ciemności ziemskich.
Jestem niezliczonym ludem.
Mam w swoim głosie czystą moc
przenikającą ciszę
i kielkującą w mroku.
Śmierć, męczeństwo, ciemność, głód
szybko przykrywają ziarno
i lud się zdaje pogrzebany.
Lecz kukurydza wraca do ziemi,
jej czerwone nieublagane
ręce przebijają ciszę,
ze śmierci się odradzają

Pablo Neruda

LEONARD SOBIERAJSKI

REYMONT W KRĘGU WYCHO

Aleksander Świętochowski — który dla dzisiejszego badacza stanowi niesłychanie wspaniały materiał dla prześledzenia linii „rozwojowej” naszej pozytywistycznej inteligencji (od „Przeglądu Tygodniowego”, „Prawdy” poprzez „Głos” i „Tygodnik Ilustrowany” do „Myśli Narodowej”) — jako punktu doświadczenia — we wspomnieniu o Reymontcie przypomniał swoje zasługi wobec autora „Chłopów”. Jak to debiutującemu, młodemu Reymontowi, gdy ten po raz pierwszy w 1893 roku pojawił się w redakcji „Prawdy”, zasugerował — ze względu na rodzaj jego talentu i dotychczasowy zakres doświadczenia — żeby koniecznie udał się z pielgrzymką chłopską na Jasną Górę, bo tam właśnie znajdzie dla siebie właściwy przedmiot obserwacji — lud. Możemy dzisiaj założyć, że podobnymi propozycjami „obstawili” Reymonta redaktorzy „Głosu” i powiązani z piśmem ideologicznie jego nowi, bliźni i dalsi przyjaciele.

A więc lud — oto temat, o którym można było wejść wówczas do literatury. Autor pierwszych nowel stanął wobec zamówienia „dobrze płatnych” warszawskich tygodników społeczno-literackich. Stał wobec tego zamówienia człowieka określonej klasy. Buntujący się przeciw własnemu drobno-mieszczańskiemu środowisku — syn organisty, młynarza i właściciela folwarczku pod Tuszynem — szukający rozpaczy drogą wyjęcia, tulający się po zawodach, zepchnięty na licho płatne stanowisko urzędnika kolejowego w podskiermiewickiej wsi — rozumiał, że jego talent literacki (a wierzył w niego głęboko) może dać mu szansę awansu. Był więc sprasowany zamówieniem. Ten warunek mógł być spełniony przy całkowitym podporządkowaniu się wpływowi wychowawczemu grupy, która pod koniec XIX wieku określając się mianem „młodej inteligencji” zaczęła forsować w kraju nową politykę na odcinku życia społecznego i kulturalnego.

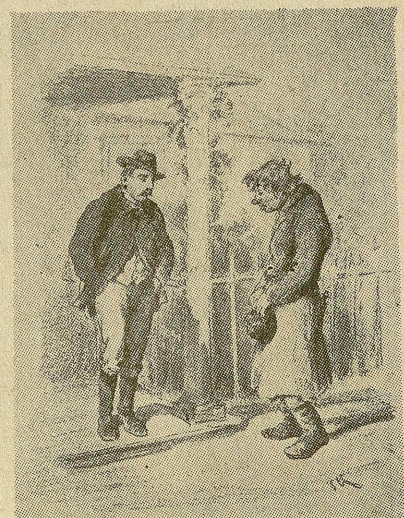
Ideologiczną kulną tej grupy był tygodnik literacko-społeczno-polityczny „Głos”. Powiązania Reymonta z „Głosem” są potwierdzone przez politycznych jego przyjaciół. Przypomnijmy tu jeszcze raz Grzymałę Siedleckiego: „Ideologia „Głosu” wydaje mi się jedynym momentem wpływu, jakoby można wyszukać jako paratektę twórczości Reymontowej. Talent ten powstał sam z siebie. To jednak, co jest struną obywatelską w człowieku, a co z rozmysłem czy po niewoli przedostaje się do dzieła sztuki, to pozostało z atmosfery „Głosu”¹⁾.

Krytykowi więc pozostaje odwołać się do pisma, które uczyniło Reymonta „rozumienia i ujmowania” zagadnienia ówczesnej wsi. Przyjmujemy, że to wychowawstwo dokonywało się w latach 1895, 6, 7, 8. Reymont musiał wówczas czytać „Głos”, na pewno stykał się często z ludźmi typu: Popławskiego, Zygmunt Wasilewskiego, Balickiego, a więc osób, które budowały ideologiczne zęby dla „demokratyzującej” burżuazji z obozu narodowej demokracji, wówczas gdy problemem interesu narodowego stawała się ona pokryć własny ordynarny interes klasowy.

PROBLEM „LUDU” W UJĘCIU „GŁOSU”

Wydaje nam się, że nasi politycy burżuazyjni w latach osiemnastych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku — obojętnie czy to będą publicyści z konserwatywnego „Czasu” krakowskiego, petersburskiego, „Kraju” czy reprezentanci „młodej inteligencji” z „Głosu” warszawskiego — znacznie gruntowniej i wnikliwiej studiowali Marks’a i Engels’a niż nasza z lat ówczesnych postępową inteligencja. Można założyć z pełną szansą prawdopodobieństwa, że w ostatnich latach XIX i pierwszych XX wieku dostawiali się do ich rak egzemplarze nielegalnych pism socjaldemokratycznych, w których Lenin wykładał teorię rewolucji proletariackiej, wskazując na wszystkie elementy, które muszą ją poprzedzić i które muszą być dla jej przeprowadzenia wykorzystane. Politykom tym głęboko w myśl zapadała marksistowska teza, że klasa robotnicza nie jest w stanie doprowadzić do obalenia kapitalizmu bez oparcia się o masy chłopskie. Masy chłopskie, więc — oto czynnik rozstrzygający w przyszłym starciu między burżuazją, a klasą robotniczą. Burżuazja nasza postanawia więc za wszelką cenę opanować tę węzłową pozycję. Ta decyzja wyznacza nową taktykę jej politykom. Będzie ją realizował właśnie „Głos”, organ powołany do teoretycznego czuwania nad zatrzymaniem wsi w kapitalizmie. Wypracuje on teorię odizolowania mas chłopskich od proletariatu. Główną przesłanką tej teorii to wychowanie wsi w antyurbanistycznym duchu. Zależy o rogatek wsi barierę przed wszystkim, co przynosi nowoczesna cywilizacja, to tym samym „wypodnie ją” i na niebezpieczne pojęcia jakie stały się już własnością proletariatu miejskiego. Przejdzie

wówczas przez Europę seria ad hoc spreparowanych teorii, którymi będą operowali politycy, działacze społeczni i kulturalni, pozostający na usługach europejskiej burżuazji. U nas takiej misji — jak już wspominaliśmy — podjął się Stanisław Ignacy Witkiewicz, Jan Gwałbert Pawlikowski, Jan Popławski. Misji tej służyła cała ówczesna burżuazyjna publicystyka, służyła jej „oficjalna” literatura. Celem roboczym tej misji było w pierwszym rzędzie przekonanie własnej inteligencji, (którą przecież trzeba było wrzucić w plan) — a w dalszej perspektywie — i mas chłopskich o: 1) prymacie rolnictwa nad przemysłem w gospodarce narodowej — stąd kult ziemi i uznania



„A co to powiecie gospodarzu? — Jaśnie panie wielga bida, nie mam na kawalek chleba! — Ale na gorzałkę to macie, boście się okrutnie urznie! — Ba, żeby i na gorzałkę nie było, to by jeszcze większa była bida!”

Fr. Kostrzewski

nie społeczne dla warstwy chłopskiej, którą przecież ziemia dachowu kształtuje, 2) rozstrzygnięcie znaczenia dla narodu tego, co dzieje się w jego podstawowej komórce — gromadzie i gminie (a nie tego, co wynika z walki proletariatu przemysłowego z burżuazją wielkokapitalistyczną) — stąd konieczność patronackiej roboty inte-



F. M. Wygrzywański „Wielcy politycy” mal. 1904

ligencji na wsi pod postacią opiekuństwa nad kółkami rolniczymi, oświaty, czytelniami ludowymi, 3) odrębność i samowystarczalność kulturalnej wsi — stąd forsowanie kultury ludowej.

Prześledźmy teraz — choćby fragmentarycznie — te podstawowe treści, jakie musiał kształtować Reymont — awansującego na literata. Żeby nie pozostać nadal tylko urzędnikiem kolejowym na zapadłej wsi, musiał on te treści uznać za obowiązujące, a dalej musiał im



Stryjeńska — oberek

nadać dobry kształt literacki. Był to zresztą mus, któremu autor „Ziem Obiecanej” chętnie się podporządkował.

Polityka społeczna „Głosu” znajdowała w piśmie swoje sformułowanie w licznych artykułach teoretycznych, znajdowała swój wyraz w rozważaniach publicystów, wskazujących jak inteligencja ma rozumieć cały spłot ówczesnych zagadnień wiejskich, i jak ma się wobec nich w praktycznym działaniu ustawiać. Podstawową przesłanką tej polityki było stwierdzenie, że „wyobraźniem żywej energii społecznej staje się lud i on to, nie zaś klasy inteligentne, jest dźwignią życia narodowego. Warstwy pańskie spełniają rolę regulatora i przetrzymują dopływającej z łona ludu

energii, regulatora nie zawsze sprawiedliwego, przetwórcy nie zawsze sumiennego”²⁾.

Z przesłanki tej wynikają dla inteligencji wskazania praktyczne. Jeżeli lud staje się wyobraźniem żywej energii społecznej, to w interesie inteligencji (pozostającej na usługach burżuazji — L. S.) leży pokierować tą energią, tak ją skanalizować, by nie stała się groźną dla klasy posiadającej.

By to zadanie wypełnić publiczności „Głosu” zalecają, aby inteligencja wniknęła w te wszystkie punkty życia społecznego, politycznego i kulturalnego wsi, które w ówczesnych warunkach historycznych dawały jej szansę na dopuszczalność w ramach panującego ustroju rozwój. Czuwać i kierować tym rozwojem, by chłopstwo nie pragnęło wyjść poza ramy porządku kapitalistycznego — oto godne, według „Głosu” zadanie dla inteligentnych działaczy społecznych i kulturalnych, dla oświatowców i pisarzy.

Punkt rozstrzygający dla tego działania — to gmina: „jedynym miejscem i jedyną instytucją, której można dać nazwę organu samorządu, jest u nas gmina. A więc nie gdzieindziej, lecz ku niej, i tylko ku niej, muszą się zwrócić usiłowania nasze. Fundamentem może być tylko to, co jest; reszta może być tylko logicznym rozwinięciem podstaw”³⁾. Autor artykułu „Parę uwag z powodu bibliotek ludowych” — podsuwa inteligencji taktykę, jaką winna ona kierować się w podporządkowywaniu sobie wsi. Taktyka ta ma oczywiście obowiązywać inteligencję we wszystkich innych działaniach na odcinku wiejskim. Pisze on: „...oddanie przewodnictwa czytelni ludowych w ręce wyłącznie klas wyższych nadałoby im cechę patronatu, który w dzisiejszych stosunkach jest dla ludu niesympatyczny. To też udział klas wyższych, jakkolwiek niebędący, winien być raczej faktycznym ale jak najmniej formalnym”.

Z tegoż „Głosu” na podstawie artykułów K. Bystrzyckiego Reymont mógł i musiał dowiedzieć się, jak należy oceniać sytuację ówczesnej wsi z końcowych lat XIX w. Ocena ta według autora artykułu wypadła optymistycznie, jakkolwiek „korzystne dla wsi warunki po uwłaszczeniu” (Królestwo Kongresowe) — kiedy to „lud w znacznej mierze stał się nagle swobodnym posiadaczem o tyle o ile dostatecznej ilości ziemi, która przy pracy mogła zapewnić mu znośne utrzymanie; a w lepszych latach pozwalała nawet na robienie pewnych oszczędności” — zmieniły się na gorsze. Autor z całym „obiektywizmem” potrafił stwierdzić, że wpływ na „szybki przyrost ludności”, który doprowadził do „nadzwyczajnego rozdrobnienia ziemi no i obniżenie ceny zboża, wynikające z warunków „rynku powszechnego”. Gdy gospodarstwo rolne z powodu obniżenia cen zboża stało się dla ziemian mniej rentowne, Bystrzycki jako zalecenie dla wsi podaje parcelację, ciesząc się, że chłop — jako najlepszy (płatą najwyższe ceny) nabywca ziemi idą na parcelację. Co więcej uważa, że „przy pewnych udogodnieniach, zaprowadzonych przez nową ustawę bankową, liczba żądających pożyczki (na zakup parceli) na pewno się powiększy. Dodajmy — mówi dalej, — że istnieje pewna ilość drobnych rolników, nabywających ziemię za gotówkę lub z długim hipoteczny, — a wówczas zapobiegliwość ludu naszego w zdobyciu sobie lub powiększeniu gruntu okaże się zjawiskiem poważnym, świadczącym o znacznym wzroście jego energii ekonomicznej” (podkreślenia nasze — L. S.).

Publicysta „Głosu” swoją wiedzę o ówczesnej wsi czerpie między innymi z listów i korespondencji „Zorzy” i „Gazety Świątecznej”. Trudno nam powstrzymać się przed zacytowaniem dłuższego fragmentu, jaki za „Gazetą Świąteczną” przytacza autor artykułu. Cytowane wypowiedzi służy nam jako ilustracja dla tezy, że wieś ma pełną szansę rozwoju w systemie kapitalistycznym.

Korespondencja mówi o wsi Sobótce w pow. łęczyńskim: „Nie mówiąc już o gospodarzach 15-to i 30-to morgowych, którzy mają ziemię, mlekiem i miodem płynącą”, rodzica doskonałą pszenicę i po 150 korcy buraków z miodu, patrzymy jak radzą sobie liczni trzymorgowi „komornicy”. Są to ludzie najodwiejsi do pracy i rzemiosła. Są między nimi pilarze, murarze, szewcy, stolarze, kołodzieje, cieśle, muzykanci, koszykarze, nawet mechanicy. Tym sposobem mieszkańcy wsi stają się jedni drugim potrzebni i pomocni. Pieniądzy mało sobie płacą, najczęściej bezrolni lub małorolni odrabiają za otrzymane zapożyczone pod kartofle, rzemieślnik znowu dostaje konia do swojego ogrodu itp. Wielka tu jedność i równość wśród ludu; pełno chrześniaków, kumotrów. Dobry był widzieć się dając nie tylko w izbie i w oborze, odgadnąć go nawet z wyglądu ludzi. Młodzieńcy tu dorodni, rośli, dziewczuchy przystojne...”

1) Jan St. „Życie i lud”, „Głos” rok 1897, str. 22.

2) Jan St. „Zadania bieżące”, „Głos” rok 1897 Nr 26 „Głos” rok 1897 Nr 27.

W relacji Bystrzyckiego chłopie wszędzie sobie świetnie radzą: puszczają się na rentowne sadownictwo, zakładają we dwóch lub trzech spółki różnego rodzaju, stają się jak w Sobótce... samowystarczalni. Trzeba im tylko ułatwić — zaleca autor nabywanie parcel (naturalnie z obciążeniem hipotecznym L. S.). Autor pod koniec swoich wywodów zachłystuje się z zachwytem pod adresem „naszego ludu”: „Kto zna typ naszego powiatu lubelskiego (Przykładów jest więcej) — dzielny, zdrowy, żywy — ten zdziwi się nie będzie tej jego samorodnej przedsiębiorczości. Cóżby to było — dodaje dalej — gdyby ta przedsiębiorczość chłopiska spotkała się z rozumną pomocą inteligencji?” Oto wiza wsi ideologicznej „Głosu”. Ideal społeczny, jaki, pragnęliby narzucić chłopstwu.

Reymont — jak podają zgodnie co obiektywniejsi badacze jego twórczości — nie grzeszył za wielką bystrością intelektualną. Dlatego nie wszystko przyjął z „zaleconego dla wsi programu”, ale trzeba przyznać, u trafił w najistotniejszy postulat swoich mocodawców — poka-

2) „Głos” 1896 nr 6 i 26.

WIESŁAW JAŻDZIŃSKI

ABY PRZYSPORCZYĆ

Tomiki Biblioteki Przędowników Pracy, starannie opracowane i wydane przez „Książkę i Wiedzę” przeczytałem już kilka razy. Jest to bowiem na prawdę interesująca lektura.

Ma niewątpliwie rację Andrzej Wasilewski, jeżeli proponuje osiągnięcia produkcyjne Zielińskiego, A. prysa, Kuderskiego, Trzczińskiego, Gmitrzykowskiego i innych jako tematy literackie dla rodzącej się w Polsce socjalistycznej literatury („Wies” nr 41 „Tematy literackie”). Chciałbym jednak równocześnie zwrócić uwagę na inny, niezmierzony ważny moment, narzucający się bezpośrednio po lekturze. Mianowicie na jej społeczno-wychowawczy walor w stosunku do zwykłego, masowego czytelnika, szczególnie zaś — człowieka pracy. Bo przecież lektury tomików, napisanych przez naszych przodowników pracy dowiaduje się czytelnik o nowym socjalistycznym stosunku do pracy i jego wspaniałych rezultatach. Co więcej — człowiek pracy dowiaduje się, że socjalistyczny stosunek do produkcji da się upowszechnić we wszystkich dziedzinach życia produkcyjnego, może więc objąć każdy warsztat pracy.

1. NIGDY W KAPITALISTYCZNYCH WARUNKACH

Od wczesnego dzieciństwa tęsknił spawacz Czesław Michałek do książki i nauki, do „wielkich maszyn i potężnych motorów”. Ojciec, biedny robotnik w tartaku, obarczony liczną rodziną, nie mógł pozwolić sobie na kształcenie syna. A syn, poznawszy cudowną moc prądu elektrycznego marzył nocami o elektrotechnice. Proletariacka nędza z międzywojennych lat odcięła Czesławowi Michałkowi dostęp do upragnionych studiów technicznych.

W domu rodzinnym Piotra Trzczińskiego także się nie przelewało. Ojciec — jako komunista — bardzo często był bezrobotny. Chwytał się jednak wszelkich zarobków, aby kształcić syna w gimnazjum. Ale Piotr Trzcziński długo miejsca w gimnazjum nie zagral. Zaledwie dwa lata. Szykanowany z tej przyczyny, że był synem prostego robotnika, uznany za „niebezpiecznego wywrotowca”, został ostatecznie wydalony ze szkoły na progu trzeciej klasy gimnazjalnej.

Wydatki na szkołę dla syna nie mieściły się w budżecie proletariackich emigrantów Zielińskich, mieszkających przed wojną w departamencie Nord, we Francji. To właśnie dlatego trzynastoletni Czesław Zieliński powiedział „pod ziemię”, do kopalni, zamiast do szkoły.

Oto fragmenty życiorysu naszych przodowników pracy, mistrzów oka i ręki, na których z podziwem patrzył cały naród. W Polsce, czy na emigracji, wszędzie ta sama nędza, ten sam brak podstawowych środków do życia — odpychał przyszłych przodowników pracy od szkoły, od studiów technicznych. Pozostawała im jednak — praktyka.

Wiele wycierpiał Michałek w międzywojennej, kapitalistycznej Polsce. Gdy szukał rozpaczy pracy, witały go zawsze chłodne objęte spojrzenia i niemal zawsze odprawiano go z kwitkiem. Okrzyczany jako komunista z największym trudem i po wielu upokorzeniach znajdował licho płatną pracę.

„Uwaga — Komunista!” — takie ostrzeżenie pod adresem Zielińskiego przysyłał sobie francuscy kapitaliści, zawsze zgodni, jeżeli chodziło o walkę z postępowymi robotnikami.

Granatowa policja deptała nieustannie Trzczińskiemu po piętach. I on bardzo często był bez pracy. Włókła się za nim od fabryki do fabryki opinia „wywrotowca”. A to wystarczało, aby głód nieustannie zaglądał w oczy rodzinie Trzczińskich.

W „Chłopach” pęd wsi do zdobycia ziemi przez... kupno działek z panadziejczowej ziemi. Czym była wówczas dla ziemiaństwa parcelacja, poucza nas Stanisław Grabski: „Myśmy doszli dziś już do tego, iż z reguły każdy średni majątek ziemski jest w zasadzie przeznaczony na parcelację, że włościanie nasi nie tylko są w stanie ofiarować zawsze wyższą za ziemię cenę, niż kto bądź inny, tak, iż parcelacja jest niewątpliwie najkorzystniejszą dla każdego większego właściciela formą sprzedaży jego majątku, lecz, że co ważniejsze — każdy musi zadać sobie pytanie, azali nie korzystniejszym byłoby dlań rozparcelować swój majątek, niż na nim w dalszym ciągu gospodarzyć” (podkreślenie Grabskiego).¹⁾

Wniosek dla ziemiańskiego teoretyka endecji jest tu jeden: „Cena więc, jaką włościanie dają za ziemię, zależy od dwóch przede wszystkim warunków: 1) od ilości gotówki, którą może zdobyć w celu zakupu gruntu, 2) od siły jego pożądanego tego gruntu (podkreślenie nasze — L. S.). Ale — rozum-

1) Stanisław Grabski: „W kwestii parcelacji”, „Przegląd polski”, rok 1904, str. 110.

je obrońca interesów ziemiaństwa — należy tu rozpatrzyć źródła zdobywania przez chłopów gotówki na kupno ziemi. Bo choć każde... podwyższenie się stopy zarobków w kraju, zwiększa zasób gotówki, jaką włościanie mogą rozporządzać, to jednak, podnosząc jednocześnie wymagania ich życiowe, zmniejsza z drugiej strony odpowiednio ich szacunek wartości ziemi. A zatem — tym wyższa jest cena ziemi, jaką włościanie płacą jest gotów, im ceteris paribus większa istnieje, różnica między stopą miejscowych jego zarobków a dostępnymi dlań zarobkami miejscowymi”²⁾.

W tym sformułowaniu w sposób najczystszy została obnażona polityka ziemiańskiego skrzydła burżuazji — wobec mas chłopskich. Podbić cenę pańskiej ziemi — zamknąć przed chłopem możliwość jakiegokolwiek zarobku w kraju, zepchnąć wieś do autarkii, stworzyć z niej wewnętrzna kolonię dla burżuazji — oto ideał społeczny ludzi, którzy wychowywali Władysława Reymonta. Zachwyty nad kulturą ludową, obyczajem i porządkiem społeczno-moralnym gromady, to narzadzia zamknięcia wsi w samowystarczalności, zamknięcia — ze względu na interesy polityczne i gospodarcze ówczesnej burżuazji.

2) Tamże.

nie tempa pracy, osłabianie jej wydajności stanowiło jeden z istotnych przejawów walki klasowej robotników z kapitalistami.

„Nieraz zapytywano mnie — czytamy u Zielińskiego — dlaczego nie robiłem rekordów we Francji, dla czego nie zwiększałem tam wydajności, dlaczego nie dawałem tam więcej węgla? Pytam was, dla kogo miałem to robić? Dla kogo? Dla kapitalistów?...”

Zatem wstrzymanie postępu w produkcji było przejawem świadomości klasowej robotników. Wobec tego nie prawdą jest, że ocinani przez nędzę od szkół ludzie pracy nie byli zdolni, nie posiadali umiejętności organizowania wyższych, oszczędniejszych i bardziej wydajnych metod pracy. Umiejętność tę mieli. Nabywali ją poprzez długie lata praktyki. Świadomie jednak nie chcieli służyć bogatym kapitałom wiedzy praktycznej wrogowi klasowemu.

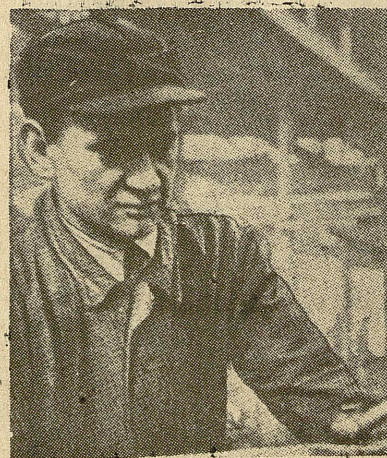
Wiedza ta nie przepadała. Ujawniała się natychmiast po wojnie, ujawniała się coraz powszechniej dziś.

3. „TERAZ PRACUJEMY DLA SIEBIE.”

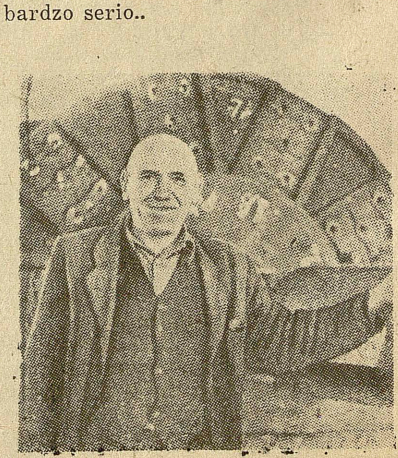
Kiedy Czesław Zieliński powrócił do Polski Ludowej, przyrzekał się do brzo stosunkom w kraju i warunkom pracy, jakie uzyskała klasa robotnicza, powiedział: „Eh... teraz weźmiemy się do pracy. Teraz wyprostuję swój kark. Teraz zrozumiałem skąd brała się u mnie i u wszystkich robotników, którzy pracowali na kopalniach francuskich, niechęć do pracy... Teraz pracujemy dla siebie, dla własnego kraju, w którym władza należy do rąk ludu... Kraj potrzebuje węgla, jak najwięcej węgla. My go damy...”

I oto Zieliński osiąga 721 procent normy wydobywania węgla w „Makoszewie”. Powtarza ten sukces i w innych kopalniach. A nasz węgiel, nasz czarne złoto, zdobywa rynki świata, umacnia naszą pozycję gospodarczą, społeczną i powagę polityczną w świecie, wzmacnia dobrobyt wewnątrz kraju. Zieliński nie zmarnował długich i ciężkich lat spędzonych w rozmaitych kopalniach francuskich. Przeglądał się uważnie organizacji i metodom wydobywania węgla. Studiował w kopalni. Całą wiedzę i wszystkie zdolności wynalazcze podarował ludowej ojczyźnie. Kapitalistom takiego podarunku uczynić nie chciał.

Szczepan Kuderski, inicjator wspólnego zawodu w oszczędności pracy w zakładach hutniczych — „Czerwona Trzeźbina”. Bardzo pouczająca jest powojenna historia „Czerwonej Trzeźbiny”. Rozpoczęcie normalnej produkcji w hucie, zniszczonej przez uciekających Niemców wydawało się niemożliwe. Nikt w Zjednoczeniu nie traktował serio możliwości uruchomienia zakładów. Brakowało wiornika, maszyny sprowadzonej ze Szwecji, jeszcze przed wojną. Ale załoga „Czerwonej Trzeźbiny” traktowała możliwość uruchomienia huty bardzo serio...



Mieczysław Łykowiał



Szczepan Kuderski

WAWCÓW (II)*)

Michał Bobrzyński określając w 1908 roku politykę stronnictwa konserwatywnego wobec wsi, dał bardzo celną charakterystykę endecji, która w omawianych przez nas latach tak „dużą troskę” wykazała o „nasz lud”: „Niektórzy demokraci grożą podobno, że będą w tym kierunku przeliczować konserwatystów. Może to i uczynią, ale tylko o tyle, o ile to ich interesów, które zastępują, nie nie będzie kosztować”. Przypomnijmy tu słowa listu Reymonta do Zygmunta Wasilewskiego: „Zaczęliśmy razem...”

POKWITOWANIE ODBIORU

Czy Reymont dobrze się wywiązał z zadania, jakie postawiła przed nim klasa, pasująca go na swojego pisarza? Odpowiedź na to daje nam recenzja z dwóch pierwszych części „Chłopów”, jaką w 1904 roku zamieścił „Tygodnik Ilustrowany”. Recenzji podjął się najwytrawniejszy krytyk ówczesny — Ignacy Matuszewski. Jest ona dla nas dzisiaj interesująca, ponieważ stanowi pokwitowanie dzieła z punktu widzenia tej klasy, która je zamówiła. Jest ona — z tych właśnie względów — znakomitą ilustracją i potwierdzeniem tezy, że przy pełnych pozorach obiektywności dzieło musiało być przez krytyka tak odczytane, jak tego wymagała polityka

klasy, walczącej o kulturalne ujarznienie i opanowanie wsi. Nie chodziło przecież o to, aby pokazać wieś, jako „siłę złą, rozpraszającą”, ale taki dać jej wzór, by właśnie na nim można było bez obawy wychowywać przyszłą inteligencję wiejską, by taki jej obraz można było podsuwać działaczom i pisarzom chłopskim, którzy by w nich nie rozbudzał świadomości klasowej, który by wpały w nich poczucie odrębności warstwy chłopskiej — stwarzał jednym słowem nieodpartą sugestię, że wieś w swoim procesie rozwojowym nie ma i nie może mieć żadnych punktów stykowych z proletariatem fabrycznym, walczącym świadomie o obalenie kapitalistycznego wyzysku, dotykającego w równym stopniu klasę robotniczą jak i proletaryzowane przez kapitalistyczny ustrój masy chłopskie.

Ignacy Matuszewski, „najsłabszy” krytyk „Młodej Polski”, pisał: „Powieść Reymonta płynie silnie, lecz równo, niby potężna rzeka wśród starodawnych lasów i wzgórz, chlebobojnych pól i wonnych łąk. Są chwile, w których fala wzbiera wysoko i bije z gniwnym pomrukiem o brzości, ale główny nurt rzeki nie opuszcza łożyska, wyzłobionego przez wiekami. Ostatni utwór Reymonta to obraz życia, które

zmieniając się w szczegółach, pozostaje jednak i w zewnętrznych formach i w wewnętrznej swojej istocie jednakim i starym”.

Krytyk nie omieszcza w sposób literacko wykwintny przypomnieć z dzieła to, co z punktu interesów ziemianstwa stanowiło w nim najcenniejszy walor: „Zachowując możliwą obiektywność tonu — mówi Matuszewski — autor zespala się całkowicie z tym, co wychodzi spod jego pióra i razem z chłopem orze i sieje, raduje się i cierpi, hula i pije gorzałkę, bije kłonią ciarachów, kłnie, śmieje się z uczesanych a swobodnych konceptów i przypowieści, słucha ze wzruszeniem legend i baśni, modli się i wzdycha w kościele i — pożąda ziemi”.

Mile jest dla młodopolskiego krytyka, że chłop reymontowski orze i sieje, hula i pije gorzałkę, śmieje się z uczesanych przypowieści, słucha legend i baśni. Najmilsze jest jednak to, co może z przymrużeniem oka zakomunikować swoim, z ziemiańskich dworaków, czytelnikom, że chłop ten pożąda ziemi. Z tego pożądanego — jak pozwala na podstawie wymienionych cech chłopskich domyśleć się swoim czytelnikom — nie złego dla nich, posiadających nadmiar ziemi, nie wynika. Bo jak długo chłop zamiast myśleć będzie kłoniąc bit ciara-



J. Chelmoński (1850 — 1914) — Orka

chów, tak długo nie nie zagraża ich stanowi posiadania.

Na tę samą nutę zagra „patron” samorodnych chłopskich talentów — Lucjan Rydel. Dla niego uderzającym „rysem w powieści, — jak w życiu, jest nieprzeparta, ślepa, zagorzała miłość ziemi. Wszystko walczy wszystko dobija się o „grunt”, wyrывая go dzieci rodzicom spod nóg, rodzice rozpaczliwie garną go pod siebie, on kojarzy lub rozbija małżeństwa, jednostkom daje powagę i znaczenie, a pośrednio staje się podstawą — godności osobistej i moralnej — przewagi człowieka. Dla niego dusza chłopska gotowa jest do wszystkich ofiar, poświęceń i udręceń, dla niego posunie się aż do zbrodni”.

Komplet serca: i ofiary, i poświęcenia i udręczenia — dodamy od siebie: przez najniższą stopę życia, przez emigrację zarobkową, przez obciążenie hipoteczne — było tylko za możliwie najwyższą cenę zdobył „nasz włościanin” z parcelowanego korzysnień dworu — działkę jako „podstawę godności osobistej i moralnej przewagi człowieka”.

Jednego tylko krytyka burżuazyjnego nie całkiem Reymont zadowolił i to właśnie krytyka „Głosu” — Władysława Jabłonowskiego. Podkreśla on w dziele te wszystkie walory, jakie postulowała ideologia „Głosu”: „Pokaż nam autor — pisze w swojej recenzji Jabłonowski — chłop etnograficzny i chłop mającego poczucie swego stanu, swego stanowiska społecznego, jego instynkt gromadki, jego przywiązanie materialne i jego solidarność klasową, jego pełen miłości bezwiednej a krzepkiej stosunek do kraju rodzinnego, do ojczyzny, w szczerym znaczeniu tego słowa, do rasy własnej; — nie dał nam wszakże odczuć chłopu-obywatela, tego, który ognia wzrokami całości odczyni, nosi w duszy poczucie solidarności narodowej (podkr. nasze — L. S.), a interesu narodowego, idealnych dóbr narodowych, tak samo uparcie gotów bronić, jak broni, pełen ciepłego ukończenia, szmat ziemi karmicielek”.

Autor wyjaśnia dlaczego stawia ten zarzut. Bo „współcześnie to wszystko nie jest rzadkością, nie w wyjątkach tylko znajduje swój wyraz — już to się staje dostojnym stanem całego, idzie samo przez się, rozwija się, potężnieje i o własnych siłach stać może. Dlatego nie wplótł autor tego wszystkiego, tych obywatelskich popędów chłopu naszego, w obłężym dzieło swoje, dlaczego tej strony życia ludu wiejskiego nie wyszukał, nie poruszył? — to będzie dla mnie zawsze niezrozumiałe, i nie nie pomogą wszelkie wyjaśnienia”.

Ostatni zwrot w tej „obywatelskiej i narodowej pretensji” jest intrygujący. Wynika stąd, że próbowano to sprawę wyjaśnić między wtajemniczonymi, że może nawet były naciski na autora wcześniej, żeby jeszcze i te postulaty pełniej zapożyczyć, ale widocznie „nie wychodziło”. Może — powtarzamy. Ważne jest dla nas przy tej wypowiedzi określenie jej czasu, ze względu na dokonywane się wówczas procesy. Są to lata 1907, 1908. Wzrasta wówczas w Polsce fala nacjonalizmu. Stronnictwo Narodowe jak i galicyjscy konserwatyści potrafili zresztą wygrać wyłączeniową politykę junkrów w wyborze pruskim, potrafili również opętać chłopów galicyjskich problemem Rusinów. Taktyka burżuazji cały wysiłek kierowała wówczas na przeweksplorowanie chłopskiej walki klasowej na ślepy tor wspólnych, „solidarnych interesów narodowych”. Były to lata pełnego triumfu burżuazji, triumfu opanowania warstwy chłopskiej. Pedagogika ideologiczna „Głosu” zaczynała dawać owoce. Przywódcy galicyjskiego ruchu ludowego w imię mówionej im solidarności narodowej zrezygnowali wówczas z walki klasowej. Burżuazja unieszkodliwiła masy chłopskie, kaperując ich kierownictwo. A przecież — jak mówił wódz galicyjskiej endecji i prezes Koła polskiego — Głabiński, galicyjski

ruch ludowy był już poważną groźbą dla burżuazji, mógł być śmiało uważany za sprzymierzeńca proletariatu. Z okazji wstąpienia posłów PSL-u (1908 r.) do Koła polskiego mówili: „Gdy przed kilku laty garstka stronnictwa ludowego nie wstąpiła do Koła polskiego, ogarnął szerokie koła narodowe w kraju i innych dzielnicach polskich żywy niepokój. Niepokój ten potęgował się i rozszerzał, gdy po wyborach ostatnich na zasadzie powszechnego prawa wyborczego poważny zastęp posłów tego stronnictwa, obdarzony zaufaniem ludu, wszedł do parlamentu i stanął poza Kołem. Dzisiaj — z uczuciem ulgi oświadcza reprezentant burżuazji — idea jednolitości narodowej święci swój tryumf”.

Podkreślmy jeszcze raz te punkty, które w „Chłopach” podkreślała krytyka burżuazyjna: 1) pęd do ziemi (parcelacja w interesie ziemianstwa), 2) przywiązanie do rasy, do stanu chłopskiego (izolacja od proletariatu), 3) solidarność gromady (zatarcie wewnętrznych sprzeczności wsi, a więc walki klasowej), 4) przebudzenie się chłopu obywatela (apel burżuazji o solidarność narodową — klasyczny odczytnik na problem walki klas i rewolucję społeczną), 5) religijność chłopu (szansa na utrzymanie wsi pod patronatem kleru).

Jaki, te specjalnie akcentowane momenty znajdowały wyraz w ówczesnym życiu społecznym w pierwszych latach XX wieku? Rok 1905 zrobił z nich jeszcze bardziej zawołanie bojowe naszych burżuazyjnych polityków. Ich atak na chłopstwo, na jego kierownictwo wzmacniał się jeszcze bardziej, atak w celu pozyskania w nim uległego sprzymierzeńca w obronie własnie przed klasą robotniczą, właśnie przed rewolucją.

Galicyjski ruch ludowy w ostatnich latach XIX wieku świecił całemu chłopstwu przykładem dobrego rozumienia klasowych interesów wsi. Mobilizował on chłopstwo do rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, stwarzał tym i perspektywę na rewolucję proletariacką. Tymczasem w roku 1908, w roku pierwszych powszechnych wyborów w Galicji — ruch ludowy ulega burżuazji. Jan Stapiński wprowadzając posłów ludowych do Koła polskiego i podporządkowując ich burżuazyjnemu kierownictwu oświadcza: „Pokażemy, że dla większych celów umiemy zapominać o mniejszych przeszkodach”. Te większe cele to zachwiana przez burżuazję solidarność narodowa, a mniejsze przeszkody to walka klasowa, z której przywódcy ludowców rezygnują. Tu właśnie już w 1908 roku burżuazja polska obroniła ustrój kapitalistyczny na blisko czterdzieści lat, obroniła wytrącając chłopstwu miętę narodu (oczywiście szlacheckiego, oczywiście mieszczańskiego-inteligenckiego oczywiście z łaskawym dopuszczeniem „naszego ludu” pod światłym kierownictwem inteligencji burżuazyjnej i kleru) klasowe rozumienie własnych interesów, stępując w świadomości wsi ostrze walki klasowej. W 1908 roku burżuazja galicyjska ustami Bobrzyńskiego oświadcza, że może już walczyć z pewnymi hasłami politycznymi, wychodzącymi z miast. Może, bo widzi już w chłopstwie swoją rezerwę. Przywódca galicyjskiej endecji — Głabiński, w swoim przemówieniu na otwarcie Koła polskiego (1908) oceniając sukcesy burżuazji, właśnie podsumowywał długą i żaźną walkę naszej inteligencji literatury o podporządkowanie chłopu polskiego ziemianstwu i burżuazji przemysłowej. Z jaką satysfakcją mógł wówczas zakomunikować posłom konserwatystom i endekom, że „Stronnictwo Ludowe zapowiedziało przejście z walki klasowej z większą własnością ziemską na pole pozytywnej pracy; a w ostatnich enuncjacjach stanęło wyraźnie na gruncie katolickim i wyciągnęło rękę do duchowieństwa, celem zatarcia walki i nieporozumień, uznając je za szkodliwe”. Dla Głabińskiego, reprezentanta nacjonalistycznej, burżuazyjnej polityki — rewolucyjny okres galicyjskiego ruchu ludowego — to proces

zapalny „naszego organizmu narodowego”. Z całym widocznym dziś dla nas cynizmem oświadcza on wówczas, że „nie straciliśmy ani chwili nadziei, że organizm nasz narodowy przetrzyma proces zapalny tym fermentem (chłopskim) wywołany. „Ze mógł tak wówczas oświadczyć to „zasługa” i naszej literatury, to w dużym stopniu „zasługa” autora „Chłopów”.

c. d. n. Leonard Soblerajski

ROMAN BRATNY

Lista płacy i ile odkładam

Ustawiam moje lata szeregami
i: „do dwóch odlicz”
Dwa — walk
dwa więzienie i obóz
dwa lata wolności
i jeszcze dwa
i raptem patrzysz: osiem!

A oto za nie lista płacy, z której
[dzisiaj żyje]

moja radość, moje
poczucie godności, czyjeś
najbliższe mi najdroższe
obce dziecko, które biegnie,
lecz nie ucieka — wolne ściga zabawę
[wy,
Lista płacy! — na niej słowo: „wol-
ność”]
Te dwa więzienne lata dzisiaj zrównoważy
[nowoży]

jeden zwyciężajmy kwiat w rękach
[szczęśliwiej]
— z rękami ocalonej za panbrat
zrywany na łąkach w pobliżu Oświę-
[cimia]

Następne lata cztery
to popłoch kłesk — to zwycięstwo
Cóż, że chleb często nielekkie,
ale wykotysały go łany ocalone przez
[męstwo.

Ale teraz te dwa najbliższe,
dwa najmłodsze przyszłości,
zaraz odliczę...
Ach, jakże chciałbym już ich ramion
[dotknąć.

Jakże chciałbym
bodaż raz, już dziś, z nimi — bodaj
[wspólnie w szeregu na ulwie
[mknąć,
zbliżyć się do ich twarzy,
dotknąć.

Ja kłamię, że chcę się z nimi
bratać bezinteresownie
— już dziś odliczam ile ile ile
radości dadzą człowiekowi
... i mnie. A ja! co robię myślenie?
I już w ich oczach wschodzi przyszłość
[toś wspomina, jak księżyc
na płacy nowym liście.
Więcej! Więcej! Więcej!

„Więcej”? — odpowiadają. — „Masz
[i to, że jeśli za błędy
już w naszych ramionach
— tych z najbliższych lat —
przyjdzie ci zginąć, skonać,
to lepszy będzie wyrok, zresztęjszy
[prokurator”.

Wierzę wam! Jak szybko biegacie (jak
[Zatopek]
na mecie triumfującej
gdy gardłem poczuje taśmę: koniec
— padną z radością w waszych oczach.
Z listy płacy jaką mi życie przedstawi
[wia
odkładać uśmiechowi losu wiele
— tyle, by na swój własny pogrzeb
[po latach
pojechać jak na wesele.

Tak. Nawet gdy wojenna śmierć
[huknie: „kuli”
zasną do życia wolać: „dowidzenia”
i ustąpię, choć nigdy dosiężę życia
[nie miał,
nowym rodakom ziemskiej kuli.

BOGACTWA KRAJOWI

Ów wiórnik był zapewne wrogiem ślusarza Krupy przed wojną. W Polsce ludowej maszyna ta stała się przedmiotem jego troski. Ślusarz Krupa użył całej wiedzy praktycznej jaką posiadał, aby wspólnie z towarzyszącymi mu pracownikami wybudować maszynę. Maszyna ta decydowała tym razem nie o stracie pracy, ale o jej uzyskaniu przez całą załogę huty. I dlatego już w trzy tygodnie była gotowa. Krupie i towarzyszącym wystarczyło wiedzy na jej wybudowanie. Huta rozpoczęła normalną produkcję, budząc ogólny podziw inżynierów.

A teraz patrzcie jak w „Czerwonej Trzebinie” pracuje mistrz oszczędności, kierownik grupy przeciwawaryjnej — Kuderski! Czy może sądzić, że osiąga, on wspólnie z rezultatami kosztów obryzmie, nadludzkiego wysiłku fizycznego?

„Ja sobie każde robotę najpierw muszę dokładnie obejrzeć, muszę pomierzyć, czy można ją zrobić technicznie. Muszę tak sobie naprzód obmyśleć, żeby nie było ani wypadku, ani szkody. Nie sztuką robić siłą, że by pracownik urobił się po łokcie...”

Zrobić technicznie to znaczy u Kuderskiego przy pomocy maszyn, znaczy zastąpić pracę fizyczną wydajniejszymi narzędziami. I kiedy inżynierowie i technicy wyliczyli, że na przesunięcie obryzmie i ciężkiej wanny trzeba będzie 8 godzin pracy. Kuderski wraz ze swoją grupą wykonał tę pracę w 30 minut. A wykonał dlatego, że „wymyślił” i potrafił praktycznie zastosować wyższe formy techniki pracy.

Szczepan Kuderski nie mógł ukończyć szkoły technicznej ani jakiegokolwiek innej szkoły średniej. Nie miał na to warunków. I nikt w kapitalistycznej Polsce nie przypuszczał, że posiada rozległą wiedzę techniczną, nabytą poprzez praktykę. Wiedzy tej starczyło nieraz na wykonanie skomplikowanych prac nawet tam, gdzie wyszkolone teoretycznie umysły zawodziły.

Nowa metoda spawania, stosowana przez Michałkę, dwójki i trójki murarskie Trzebińskiego słynne w Warszawie i całej odbudowującej się Polsce, ulepszone organizacja wydobycia węgla Zielińskiego i Apryasa, sukcesy polskiego „matrosowca” Gmitrzykowskiego odnoszone przy wykrawaniu skóry na obuwie dla ludzi pracy — wskazywa wyraźnie na niewyczerpane, ujawniające się dopiero w Polsce Ludowej zdolności klasy robotniczej w zakresie organizowania produkcji na wyższych niż kapitalistyczne wzorach. Są to równocześnie źródła entuzjazmu i energii twórczej, dzięki której plany produkcyjne wykonywane są sprawniej, szybciej i oszczędniej. Szybciej dzięki temu wzrasta dobrobyt narodu.

4. DOTĄD NIEZNANY ROBOTNIK

Kilkanaście lat temu, w dalekim Donbasie, chodził po kopalni Nikita Izotow, nikomu dotąd nieznan, zwykły, szary robotnik i denerwował się, że praca w jego kopalni nie szła tak

dobrze. Gazety donosiły, że radzieckiej pięciolatce brakowało węgla. A jednak nie zabrakło. Zwykły, szary robotnik Izotow udoskonalił technikę wydobycia węgla, założył szereg szkół upowszechniających wiedzę wśród robotników o nowych sposobach podniesienia wydajności pracy w kopalniach. Kilka lat po nim przystąpił do pracy górniczej biedny parobek wiejski Aleksy Stachanow. Chciał dorobić się konia i kawałka własnej ziemi, tymczasem jednak zapoczątkował najpotężniejszy ruch robotniczego współzawodnictwa pracy, osiągnął nieznaną w kapitalistycznej produkcji normy wydobycia węgla. Izotow, szary robotnik z dalekiego Donbasu i Aleksy Stachanow poruszyli drżącą lawiną masowego ruchu współzawodnictwa, rosnącej w Związku Radzieckim i krajach demokracji ludowej.

Vicepremier Minc mówił, że w Polsce jest wielu ludzi prostych, nie mających za sobą studiów naukowych, którzy wyżej swoją wolę i rozum, aby przysporzyć bogactwa naszemu krajowi. Są to nasi dzisiejsi przodownicy pracy. Trzeba jednak pamiętać, że Zieliński, Apryasa, Kuderski, Michałek, Trzebiński, Gmitrzykowski i inni reprezentują tysiące mistrzów oszczędności, racjonalizatorów i wynalazców robotniczych.

W kopalni „General Zawadzki” widzimy wśród robotników 1.100 przodowników pracy, którzy przekraczają normy pracy od 150 procent wzwyż. W hucie „Batory” pracuje ponad 600 przodowników pracy. Zakłady Cegielskiego szczytą się 282-ma przodownikami, którzy trzykrotnie zdobyli pierwsze miejsca w ogólnokrajowym współzawodnictwie pracy.

W tysiącach naszych fabryk, hut, kopalni, najrozmaitszego rodzaju przedsiębiorstwach przemysłowych wyrosła w ciągu ostatnich lat awangarda przodujących robotników, mistrzów w organizowaniu wyższej wydajności pracy.

A wydajność pracy — mówił Lenin — „to w ostatecznym wyniku rzecz najważniejsza, najgłośniejsza dla zwycięstwa nowego ustroju społecznego”.

Kapitalizm rozbija się przy pomocy wyższych form organizacji produkcji i wydajności pracy. Czynił to niegdyś Nikita Izotow w dalekim Donbasie, czynią to dziś i nasi przodownicy pracy.

5. „KTÓRYŚ Z NICH WYMYŚLIŁ COŚ LEPSZEGO”

Wąski zakres czynności wyznaczył bohaterem Biblioteki Przodowników Pracy miniony ustrój kapitalistyczny. Byli anonimowymi kółkami, śrubkami wielkiej maszyny, groźnego konkurenta pracującego człowieka z tamtych lat. Sytuacja odwróciła się.

Dzisiaj miarę poszerzenia kultury technicznej stają się w coraz większym stopniu panami maszyn, ulepszenia ją i przekształcają, by „wycisnąć” z techniki maksimum tego, co można z niej wycisnąć”. A nigdy już więcej z człowieka.

Nie przeszli przez normalne, szkolne nauczanie techniczne a przecież ich ulepszenia produkcyjne, wkraczające nieraz głęboko w procesy technologiczne, oparte są na rzetelnej znajomości praw fizyki, a więc są naukowe, lub co najmniej bardzo blisko graniczą z nauką. Kuderski i Zieliński wyraźnie dowiedli, że praktyka to także nauka. Dlatego właśnie mamy do oceny zjawiska, w gwałtownym, upowszechniającym się procesem zasympjanym przepaści, oddziałującej dotąd praktykę i pracę od nauki.

Nim Włodzimierz Gmitrzykowski został znanym „matrosowcem”, osiągnął wspaniałe wyniki w wykrywaniu wiecznych elementów obuwia, przysłuchiwał się najpierw zebraniom produkcyjnym przy swoim zakładzie pracy. „W pewnej chwili — pisze — głos zabrał przedstawiciel Rady Zakładowej, jeden spośród nas, z manipulacji. Ledwo zaczął mówić, pojąłem, że ten to cały fabrykę „ma w małym palcu”. Pracował przy wykrawaniu podszew, a przecież świetnie orientował się w przebiegu całej produkcji. Wiedział, jakie ogniwo szwankuje, gdzie trzeba wzmocnić obsadę, jakie wprowadzić ulepszenia”.

Ci z manipulacji, wykrawacze podszew, robotnicy mający fabrykę w małym palcu, wspólnie z inżynierami i technikami zaspali raz na zawsze przepaść oddzielającą naukę od pracy, wypracowując razem racjonalny plan produkcji radomskiej fabryki obuwia, element planu trzyletniego.

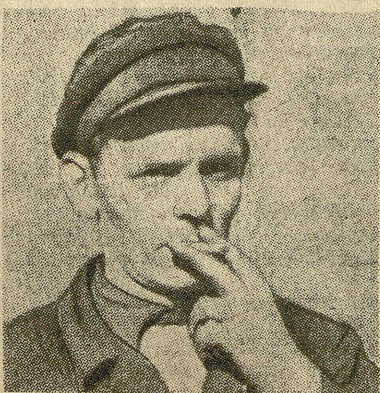
W latach kapitalizmu rozdział nauki od pracy miał charakter klasowy. Walka o większą wydajność pracy i wyższą organizację produkcji zacieśniała w codziennej pracy, z dnia na dzień różnice klasowe pomiędzy robotnikami a inteligencją techniczną. Zacieśniała je na naradach produkcyjnych i w klubach racjonalizatorów. A kluby te w samym tylko miesiacu marca br. zgłosiły 23 pomysły. Pomysły przyniosły 25.000.000 zł. oszczędności.

Spawacz Czesław Michałek wyjaśnia dlaczego obecnie coraz więcej spośród naszych robotników uczestniczy w walce o stały wzrost produkcji, oparty na wprowadzaniu lepszych, naukowych metod pracy. Otoż dlatego, że w naszym przemyśle działają teraz zupełnie inne prawa — nieprzerwanego, systematycznego postępu technicznego, że chodzi o stały rozwój sił wytwórczych. Zaś w rozwoju sił wytwórczych człowiek pracy jest zainteresowany. I zwykły, nikomu do niedawna nieznan robotnik i inżynier.

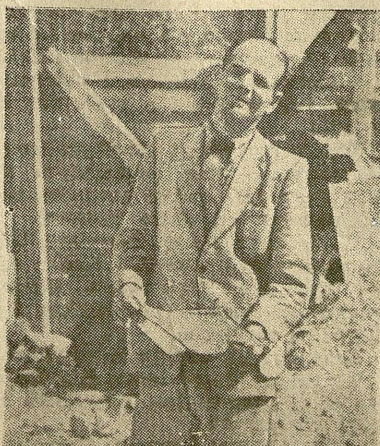
„Zrobiłem, co powiedziałem — zwierza się Michałek — robię to dalej. Wykonuje 360 proc. nowej normy. Nie ustaję w obmyślaniu nowych metod... Ale moje ulepszenie powinno wyjść poza ramy zakładów Cegielskiego. Powinno trafić do wszystkich, nieznanych mi jeszcze kolegów-spawaczy w całej Polsce. Może się zresztą okazać, że któryś z nich wymyśli coś jeszcze lepszego”.

Jasne. Doświadczenia przodownicy powinni przejąć wszyscy czynni produkcyjnie ludzie. Wydaje się, że „Biblioteka Przodowników Pracy” jest skuteczną formą upowszechniania wiedzy o nowym, socjalistycznym stosunku do pracy. W tym zawiera się społeczno-wychowawczy walor starannie wydanych przez „Książkę i Wiedzę” tomików. I dlatego powinny być lekturą masowego czytelnika.

Wiesław Jażdżyński



Czesław Michałek



Piotr Trzebiński

*) Kurier Warszawski, 1904 r. nr 83.

2) Władysław Jabłonowski: „Rozprawy i wrażenia literackie” rok 1908.

3) „Czas”, rok 1908, nr. 84.

HILARY JANKIN

WSPOMNIENIA STACHANOWCA

Tematem drukowanych tu wspomnień jest droga radzieckiego człowieka od zwykłego taczkarza w szybie kopalni do inżyniera-górnika i dyrektora kopalni.

Tow. Jankin zastosował przed wojną w walskich kopalniach miedzi niezwykle wydajną stachanowską metodę wiercenia za pomocą wielu perforatorów. Z jego inicjatywy metoda ta stała się własnością tysięcy stachanowców przemysłu górniczego. W czasie wojny Ojczyźnianej stachanowcy-nowatorzy przyczynili się do kolosalnego zwiększenia wydajności wydobywania rudy. W roku 1942 rząd radziecki odznaczył tow. Jankina nagrodą stalinowską.

Wyteżoną pracę w szybie godził tow. Jankin z gorliwą nauką. Po wojnie wstąpił do Instytutu Górniczego, który ukończył w 1948 r., po napisaniu pracy dyplomowej, omawiającej jego rewolucyjne doświadczenia robotnika-stachanowca.

W 1934 roku przyjechałem na Ural, do miasta Krasnouralska, do kopalni miedzi. Często potem wspominałem ten dzień. Wydawałoby się — cóż w tym nadzwyczajnego? Zgodziłem się do pracy — i już. Lecz kopalnia witała nas, chłopaków z kolchozu, bardzo uroczysto. Specjalnie wydelegowani ludzie zajmowali się urządzeniem przyjezdnych i w skromnych warunkach osiedla starali się dać

nam jak najwygodniejsze mieszkania. Jeszcze nie było mowy o pracy, jeszcześmy nie nie zarobili, a już nam ciągle przypominano, jakie tu mieć możemy wygody: o tu wrzutek, a tam czytelnia, tam pralnia, tam znowu szwalnia... W internacie było czysto i przytulnie. Komendanci przylatywali co chwila, pytając:

— Czy tu dziś palono w piecach? Nie zmarzliście? — A za niml chodzili groźni kontrolerzy ze związków zawodowych i „lekka kawaleria” komсомола.

Wyrośliem na wsi, nie miałem pojęcia o wielkim przemyśle, jedynie z gazet wiedziałem o nowych osiągnięciach pieciolatki, o olbrzymich fabrykach i kopalniach. I chociaż już sześć lat pracowałem w kolchozie, z radością zgodziłem się, gdy mi zaproponowano wyjazd do uralskiej kopalni miedzi: przagnąłem gorętszej roboty!

Na początek dostałem całkiem prostą robotę: zostałem taczkarzem. Wrebać wiercić rudę perforatorem, a my po wybuchu ładowaliśmy odłamki do wagonetki. Lecz nawet ta najprostsza praca fizyczna była częścią wielkiego procesu produkcyjnego, opartego na mechanizacji. Taczkarze stanowili żywą łącznicę między dwoma procesami mechanicznymi. Najpierw wiercono twardą rudę miedzianą perforatorem, do otworów zakładano materiał wybuchowy, a potem potężny wybuch rozsadzał kamienny maszyn. Teraz należało szybko oczyścić sztolnię z wydobytej rudy, by naładowane przez nas wagonetki nadążyły za bezustannie czynnym dźwigiem. O szybkości ładowania decydował spryt i orientacja robotnika.

Pomyślałem sobie: Na pewno dobrze mi pójdzie!

Zaznajomiłem się z ludźmi w kopalni, z niektórymi się zaprzyjaźniłem. Już przeszło rok pracowałem jako taczkarz i w głębi serca marzyłem o wyższym stanowisku, lecz się z tym nie zradzałem. Pewnego dnia brygadier wiertarczy, Kurzajew, podszedł do mnie i zaproponował, żebym zaczął pracować jako wiertacz. — Sądze — rzekł — żeś nie napróżno cały rok się przyglądał. A jak czegoś nie zrozumiesz — zapytał.

W pierwszej zmianie wywierciłem siedem półtorametrowych otworów. Wiedziałem już, jakie są gatunki otworów i jak należy je rozmieszczać, aby wybuch prawidłowo rozsadził pokład.

Kiedy przyszedł brygadier, spojrział tylko i rzekł: — Siedem? — to dobrze! Wiesz, powiem, żeby cię rozliczano od sztuki, a nie na czas. Pamiętaj, masz nad sobą normę! — Dobrze — pomyślałem — damy sobie z nią radę!

Szczęśliwy i podniecony wróciłem do domu i od razu napisałem list do żony, by natychmiast przyjechała. Już dawno oświadczone mi, że w razie przyjazdu żony mogę liczyć na osobne mieszkanie.

Jednocześnie uczyłem się pilnie, niedawno zdałem egzamin z podstawowych wiadomości technicznych i przeniesiono mnie z 7-ej grupy do 8-ej. Mając tylko trzy klasy, musiałem nadrobić luki w moim wykształceniu. Kiedy się zaczynały jakieś kursy — już byłem zapisany, na wykładach byłem pierwszy.

Seminarium? — doskonale, na pewno mi się przyda. — Towarzyszu, chcecie się zapisać do koła polityki bieżącej? — Oczywiście, że tak!

Dziś latki ludzi troszczyło się o to, by młodzi górnicy mogli się uczyć. Do kopalni przyjeżdżał Ordżonikidze i gawędził z naszymi brygadierami, jakby to byli jego starzy znajomi.

Nie posiadałem się z radości, gdy i mnie, najmłodszego z wiertaczy, zaproszono na zebranie górników, któremu miał przewodniczyć komisarz. Ordżonikidze naradzał się z nami, jak usprawnić wydobywanie rudy. Mówił gorąco, namiętnie, przekonywująco.

W mojej brygadzie było 18 chłopów. Prawie wszyscy przyszli równocześnie ze mną ze wsi, ale wszyscy już uważali siebie za górników, kochali swój zawód i czuli się w kopalni, jak u siebie w domu.

Uczyliśmy się wszyscy z zapałem, i to nie tylko na kursach i w gabinecie technicznym, ale i w sztolni. Często po robocie zostawaliśmy w szybie, omawiając wyniki pracy, dyskutując, naradzając się, jak zwiększyć wydobywanie rudy.

Już w pierwszych dniach mojej pracy w kopalni mówił do mnie tow. Sokolow, naczelnik zmiany, człowiek partyjny i doświadczony górnik:

— Pamiętaj, w nauce siła. Damy ci nauczycieli, ile będzie trzeba — ale ucz się gorliwie, bo nie będziemy wyrzucać pieniędzy na darmo.

Co wieczór, jak uczniak, zasiadałem po pracy do moich zeszytów. Główny inżynier Aksenow często mnie pytał troskliwie:

— Nie rzuciłeś nauki? Wiem, że ciężko ci idzie, ale nie trać odwagi. I nie traciłem odwagi.

Przy przejściu na 244-ty metr moja brygada zdobyła pierwsze miejsce.

Wkrótce okazało się, że 18 wiertarzy nie ma co robić w naszym szybie: było nam za ciasno. Powiedziałem do naczelnika odcinka:

— Jeżeli mamy pracować na serio, to można zabrać od nas sześć osób — będzie to z pożytkiem dla roboty.

— Jak to?

— To bardzo proste. Przy takiej ilości robotników trudno się po-

stu ruszać; brak miejsca, by jechać całą parą, by wiercić całe 480 minut bez przerwy.

— To ciekawe, co mówisz — rzekł naczelnik. — Zastanówię się nad tym.

I zostało nas dwunastu. Mielśmy teraz dość miejsca — i musieliśmy pokazać, że damy sobie radę. Perforator terkotał jak karabin maszynowy. Było nas półtora razy mniej niż przedtem, lecz taczkarze ładowali półtora razy więcej. Po krótkim czasie przywykliśmy do nowego tempa i pewnego dnia znowu zgłosiliśmy się do naczelnika odcinka:

— Towarzyszu, można zdjąć jeszcze trzech ludzi!

— Czy nie zapalacie się, towarzyszu Jankin?

— Ano zobaczycie, że tak będzie lepiej.

Zostało nas dziewięciu, a brygada osiągnęła miesięcznie wydobywanie 3000 m. sześć. Sekret był prosty: szeroki front przy dobrym przygotowaniu miejsca pracy.

Zarabialiśmy niemało: brygadier 2500 rb., wiertacz — około 2000 rb.

W r. 1940 tow. Jankin został odkomenderowany na Ukrainę, by się zapoznać z metodami pracy znakomitego stachanowca Siemiwołosa w kopalni żelaza w Krzywym Rogu. W drodze powrotnej wstąpił do Moskwy i zdał sprawę z tego, co widział, w narkomacie metalurgii.

Siemiwołos osiągnął niezwykłą produkcję na drodze odrzucenia drobnych czynności pomocniczych. W ten sposób uzyskał możliwość przechodzenia z perforatorem z jednej sztolni do drugiej i kolejnego w nich wiercenia. U nas rzecz ma się inaczej: ruda miedziana jest o wiele twardsza od żelaznej, tak że jednym perforatorem można wiercić tylko w jednej sztolni, dlatego proponuję wiercić jednocześnie kilkoma perforatorami.

Moich sprawozdań słuchano na różnych zebraniach, czuli, że wiadomości przekazane mi przez Siemiwołosa należą nie tylko do mnie, lecz do całego kolektywu kopalni, do wszystkich tych ludzi, którzy z takim zajęciem słuchają mnie i zadają mi pytania.

W związku z nową metodą został opracowany całokształt programu technicznej propagandy i wkrótce zaczęliśmy pracować według nowych zasad. Tak oto zjawiał się nowy termin produkcyjny: „wiercenie wieloperforatorowe”.

W pierwszym dniu zastosowania mojej metody wykonalem normę na 894%, zdobywając rekord.

Na drugi dzień zaproszono nas do miejskiego komitetu partii, gdzie wniesiono projekt rozpowszechnienia nowej metody „Siemiwołos — Jankin” we wszystkich sztolniach naszej kopalni, a także w innych kopalniach. Otrzymałem gratulacyjną depeszę z Narodowego Komisarjatu Metalurgii.

Nowa metoda udoskonalała się z każdym dniem. Wkrótce dostałem odznakę socjalistycznej rywalizacji pracy i zegarek z wygrawerowanym imieniem i nazwiskiem. Po ustaleniu przez mnie drugiego rekordu, odkomenderowano mnie do Tagilu, dla przekazania tamtejszej kopalni naszych zdobyczy.

Pewnego wieczoru siedziałem w domu. Nagle ktoś zapukał do drzwi. — Kto tam?

— Dobry wieczór. Tu Kuroczkin. Czytałem o was w gazetach. Jestem z Kazachstanu. Chciałbym popracować w waszej brygadzie, towarzyszu!

Niestrudzony ten górnik mieszkał u mnie dwa tygodnie. Co dzień jeździł do sztolni, pracował przy perforatorze, notował, chodził na zebrania techniczne. Później systematycznie przysyłał nam z Kazachstanu egzemplarze dzienników, w których pisano o jego rekordach.

Mielśmy wielu takich przyjaciół. Nasi inżynierowie pracowali bez wytchnienia. Prócz kierownictwa technicznego ciążył na nich obowiązek naukowego opracowywania nowej metody. Wkrótce sposób produkcji został kompletnie zmieniony: ustawiono sztolnie o wielu perforatorach. Metoda Siemiwołosa została tedy przemieniona twórczo, nie zaś ślepo przeniesiona.

W Krasnouralsku urządzona została ogólnokrajowa narada stachanowców przemysłu górniczego. Opowiedziałem o moich doświadczeniach. Zawsza sypały się pytania:

— Ile zużycie dynamitu?

— Jaka jest głębokość otworu?

— Ile taczkarzy potrzebujecie?

— Ile ładują na raz?

— Czy jest zapasowa zmiana?

— Itp. itp.

Padaly jednak nie tylko pytania, lecz i treściwe uwagi. Najbardziej znamienną cechą tego zjazdu był fakt, że byliśmy wszyscy nauczycielami i zarazem — uczniami.

Podczas tego zjazdu zrozumieliśmy, że nasze doświadczenie staje się wartością naukową, a my wszyscy — wiertarze, technicy i inżynierowie — łączymy się w jedną olbrzymią stachanowską brygadę.

Nasze rekordy szczegółowo opisywano w gazetach. Nazwiska nasze pojawiały się w druku. Było to oczywiście bardzo przyjemne, ale też nakładało duże obowiązki. Należało pracować i uczyć się, uczyć się!

Jakież to szczęście dla prostego człowieka radzieckiego, kiedy dozna miłości swego narodu! Głos jego drży ze wzruszenia, gdy ma po raz pierwszy — on, prosty górnik — przemawiać do milionów ludzi z radiostacji moskiewskiej.

— Towarzysze! Przed mikrofonem wiertacz z Urалу, towarzyszu Jankin.

Opowie wam o swej metodzie wier-

cenia za pomocą wielu perforatorów. Zycie wysuwało coraz to nowe zadania: podnieść wydajność pracy ogółu górników, nie zadowalając się poszczególnymi rekordami.

Cóż to jest rekord i do czego służy? Rekord — to rzut naprzód, dokonany olbrzymim wysiłkiem woli i energii. Rekordów nie osiąga się co dzień i nie każdy je osiąga. Wyobraźcie sobie, że wiertacz może dawać co dzień 4000% normy, jest tym samym, co żądać od lotnika codzienniego lotu do stratosfery.

Przy całej wyteżonej pracy musiałem się uczyć co najmniej dwie godziny dziennie. Często oczy zamykały mi się z sennością — podchodziłem do kranu, spryskiwałem twarz zimną wodą — i uczyłem się dalej.

Co na dziś z algebrą? Co z mechaniki górniczej? Predko, predko, odrobić wszystko, co zadane.

Gdy tak raz siedziałem nad książką, rozległo się pukanie do drzwi.

— Co takiego?

— Wojna!

Olbrzymi wlec górników. Morze głów. Sekretarz miejskiego Komitetu Partii wchodził na trybunę.

— Towarzysze górnicy! Na olbrzymim froncie wojny Ojczyźnianej toczy się śmiertelna walka z faszystami! Naród radziecki walczy o wolność, o życie, o honor Ojczyzny! Wzywamy was, górników, do stachanowskiej, radzieckiej, bolszewickiej, stalinowskiej pracy!

Po zebraniu zobowiązujemy się w sztolni dawać 4000% normy. I wiercimy te 4000% w każdej zmianie!

W kwietniu 1942. Rada Komisarzy Narodowych ZSRR uchwalila coroczne nagrody stalinowskie dla działaczy nauki, sztuki, kultury i dla stachanowców.

Któregoś dnia byliśmy, jak zwykle, w sztolni. Nagle zjawili się światła i zaczęły się zbliżać jakieś postacie.

— Jest tu Jankin? — słyszę głos sekretarza miejskiego komitetu partii. I widzę go w towarzystwie sekretarza biura partyjnego, kierownika trustu i kilku innych.

— Jestem. O co chodzi?

— Wiesz, po co przyszliśmy?

— Nie wiem.

— Chcemy ci złożyć życzenia, gdyż dostałeś nagrodę stalinowską!

Nie od razu uwierzyłem. Ale widzę, że nie żartują, ścisną mi rękę. W pierwszej chwili byłem tak oszołomiony, że nie wiedziałem, co mam powiedzieć, co zrobić. Ale potem pomyślałem: „Ludzie radziecy odpowiadają nie słowami, lecz czynami”.

I zwracam się do gości: — Pozwolicie, że skończę zmianę. Wyjdę natychmiast po robocie!

Delegacja odchodzi, nakazuje mi zjawić się na wiec o 5-ej godzinie. Do końca zmiany zostało 3 godziny. Pracuję jak opętany, nie myśląc o niczym.

Wlec górników. Ludzi pełno, ledwo mogę się przecisnąć. Wszyscy mnie popychają do biurka przewodniczącego.

Podczas przemówień myślałem sobie: „Chwalicie mnie wszyscy, a bez was nie zrobiłbym ani kroku. Nie, nagroda nie mnie się należy, lecz całemu kolektywowi, w którym wzrosłem”.

To przecież oni! — Nesterow, Nowikow, Aksenow — uczyli mnie: „Nie zrażaj się trudnościami, naucz się je przewyższać!” To oni wszakże zachęcali mnie: „Ucz się, a staniesz się stokrotnie silniejszy!”.

Przypominałem sobie dni, kiedy Aksenow i Nowikow nie wychodzili prawie z kopalni. Wspominałem posiedzenie biura partyjnego, dokąd Nesterow zapraszał mnie, bezpartyjnego górnik, by dowiedzieć się, czego mi potrzeba. Sekretarz biura partyjnego i naczelny inżynier troszczyli się o to, aby mi znaleźć nauczycieli geologii i matematyki, i o to, aby moja córka miała ubranie i obuwie, i o to, by w sztolni były stałe dobre światła, doskonałe funkcjonujące lampy i pewne półki.

Otrzymałem niezliczone powinszowania od przyjaciół, znajomych, redakcji, urzędów, od najwyższych osobistości państwa i od całkiem nieznajomych ludzi. Wśród listów z gratulacjami znajdowało się zawiadomienie Banku Państwowego o nadejściu przekazu pieniężnego 50.000 rb. na moje nazwisko.

Napisałem na ręce sekretarza miejskiego komitetu partii oświadczenie: „Proszę przyjąć 50.000 rb. na fundusz walecznej Armii Czerwonej” — i złożyłem pieniądze w banku.

W 1944 r. zostałem kierownikiem odcinka naszej kopalni.

— Dacie radę, towarzyszu? — spytał mnie zarządzający trustem.

— Sądze, że tak.

Na tym stanowisku miałem o co się troszczyć. Musiałem myśleć nie tylko o tonach rudy, perforatorach, szlangach i wagonetkach, lecz i o butach dla nowoprzyjętych robotników, i o talonach na żywność, i o ziemiachkach, i o mydle, i o opale dla inżynierów.

Często myślałem: Choćbym został inżynierem — sama matematyka nie wystarczy, aby spełnić wszystko, czego wymaga od ciebie państwo.

Wybrałem się do Instytutu Górniczego w Swierdłowsku. Nauka szła mi sprawnie. Pojechałem algebrę, geometrię. Usilnie pracowałem nad językiem rosyjskim.

Kraj święcił wielkie zwycięstwo. Czy mam prawo teraz, gdy wojna się skończyła, opuścić kopalnię i zacząć się uczyć?

— Koniecznie! — mówił Aksenow.

— Bezwarunkowo — wtórował mu Nesterow.

— Życzę ci powodzenia — rzekł do mnie Nowikow.

To znaczy, że mogę być inżynierem! Zaczęły się lata studenckiego życia. Każdy, kto uczył się z opóźnieniem, zrozumie, jak mi ciężko szła nauka i jak trudno było przyzwyczaić się do porządków wyższej uczelni.

6—8 godzin w instytucie, a potem do 2—3-ej w nocy w małym pokójku w internacie — nad wykresami, książkami, notatkami, aż padałem nieprzytomny na łóżko.

Lecz nauka szła naprzód, egzamina zdawałem.

Jednocześnie studiowałem marksizm-leninizm.

Nareszcie złożyłem pracę dyplomową — wykresy i 227 stron tekstu. W pracę tę postarałem się włożyć nie tylko wiadomości nabyte w Instytucie Górniczym, lecz i całe moje doświadczenie górnik, do doświadczenia stachanowca, dzięki któremu trafiłem do wyższej uczelni. Członkowie Komisji uznali to właśnie za przewagę mej pracy w stosunku do prac innych absolwentów, nie posiadających dużej praktyki.

Po wielu bezsennych nocach idę do Instytutu z moim cennym ciężarem.

Profesorzy siedzą na miejscach. Komisja składa się z 18 osób. Zawieszam wykresy, zaczynam objaśniać, demonstrować rozwiązania na tablicy. Zadają mi wiele pytań. Ledwo nadążam z odpowiedzią.

Tymczasem wszystko dobrze idzie. Jaka będzie ocena?

Z twarzy profesorów odczytuję, że, zdaje się, wszystko układa się pomyślnie.

Komisja udaje się na naradę. Nareszcie ogłaszają wyrok.

— Doskonale.

Wkrótce potem zostałem mianowany dyrektorem kopalni. Przede mną jest nowa, porywająca praca. Lecz, jak dawniej, chętnie biorę do rąk perforator — to on przecież, mój codzienny trud, sprawił, że zostałem inżynierem.

Thum. Maria Leśniewska.

PIMIEŃ PANCZENKO

Chorążowie

przyszłości

Półowa dwudziestego wieku.

Wiosna rozsypana bliznami słońca miliony.

Zaskrzypiał żuraw nad słońcem.

Sosna zapaliła się ogniem zielonym.

Topolowe gałęzi nad oknem rozchylały w stożku komate paki.

Pierwszy grom na polach do traktorów pokojowy grom.

Nie milknie on do nocy.

Nie widzieliśmy takiej wiosny.

Obiecuję nam że napewno przemieni na jawę nadzieje i sny.

Pracujemy więc pośpiesznie, z oddaniem

na polach kolchoźniczych, przy warsztatach i paleniskach.

Budowaniem i tworzeniem oddycha ojczyzna.

Nie milkną fabryki.

Ciezarówki warczą.

Praca i pieśń zlaty się w hymn pokoju i życia.

Jasnym gwiazdom Bohaterów należy się blask!

Niech dzwignie sprawozdania na strunach wysokich!

Coraz bliżej i bliżej — tylko ręką sięgnąć — dzień upragnionej komuny.

Tak by żyć, zapomniawszy o pożarach i złośli.

Dziś jednak towarzyszu

my brwi zmarszczymy:

Z za oceanu groźną wiośnie i ojczyźnie

ogniową burzę.

Jesteśmy wojownikami pokoju, a nasze słowo

silniejsze tysiącokrót od ukrytych baz.

Nadejdzie sąd i surowy wyrok usłyszysz z naszych ust.

Już dzwignie on jak gniew ognisty w przestworzach wszystkich ziem.

[skich równi,

wyrok — na tych, którzy mordują komunistów,

na katów Madrytu i Aten,

na tych, którzy sieją rozruchy i potwarz,

na tych, którzy stawiają na kartę uranu,

na tych, którzy kraje zachodniej Europy chcą widzieć martwie od ran.

Pieniąż się oprawcy i nie z poczucia

palą na stosach mądrość ludzi.

Zgnilizna śmierci wieje z grobu, twarze ugniat strach.

Ginie kapitał, przepada na zawsze wczesniejszą rękę w złotą sakwę.

Nawzięcie płazzy po imieniu, albowiem stopy wojenne zapaliły.

Jesteśmy wojownikami pokoju! Miliony nas

na drogach rozgniewanej ziemi.

Nad Jang-tse-kiangiem, w Birma, [w Dżiokarcie,

na Dunaju, Odrze i Padzie komuniści wszędzie w awangardzie.

Wszędzie w stalowych szeregach stajemy,

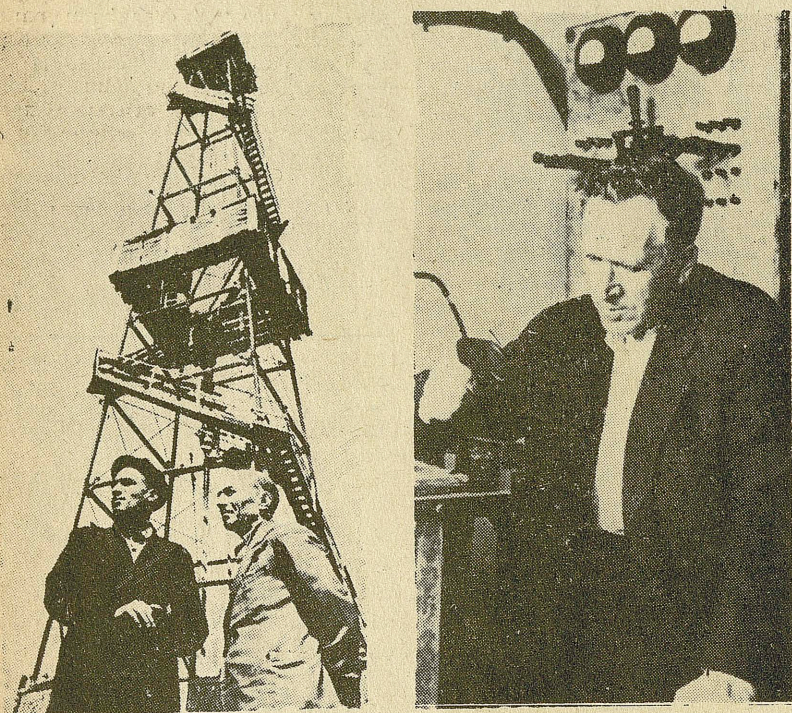
obronimy narody kuli ziemskiej.

Z nami jest prawda, z nami mądry Stalin —

wódtw wojowników o pokój, sternik ojczyzny!

Thum. E. Martuszewski

BOHATEROWIE PRACY ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

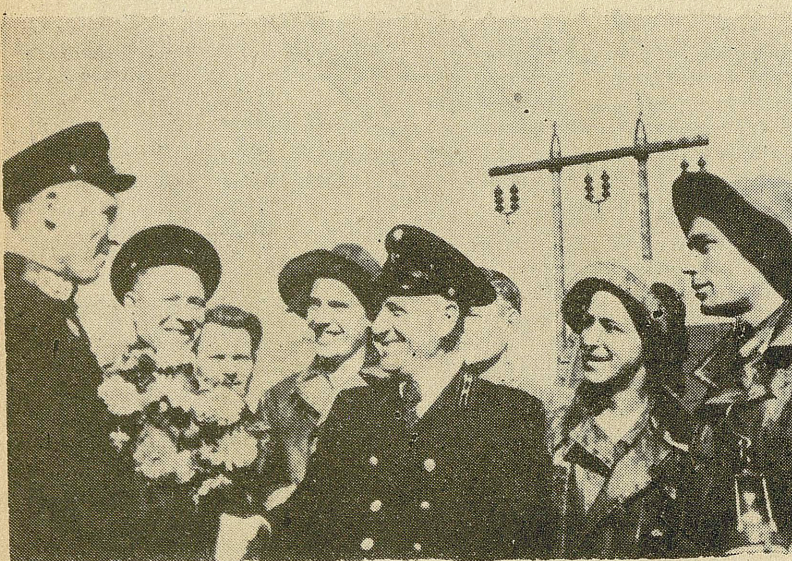


Rustan - Rustanow — majster

Akademik — J. P. Bardin



Natalia Szezebriszewa — kierowniczka sowchozu



Jaszchenko Piotr — górnik



E. Annoiridze — kierownik kolchozu

EDMUND NIZIURSKI

RADZIECKA POWIEŚĆ Z FRONTU PRACY

1. ZMIERZCH ODYSSEI

Od początku swego istnienia literatura zajmowała się problemem „powrotu z wojny do domu”. Po Iliadzie następowała przecież Odyssea. Nie trudno u Homera dopatrzeć się jakby symbolicznego przedstawienia trudności „odnalezienia się” żołnierza w ojczyźnie.

Motyw powrotu z wojny podjęli i pisarze radzieccy w takich powieściach jak: „Wiosna w Sakenie” Gulii, „Kawaler Złotej Gwiazdy” Babajewskiego, „Z całego serca” Malcewa. Wypadnie zauważyć, że motyw ten w powieściach radzieckich służy jednak za punkt wyjścia do zupełnie innego zagadnienia, jakim jest praca w służbie socjalizmu.

Motyw powrotu z wojny w powieści radzieckiej brzmi optymistycznie. Powrót „ludzi prawdziwych” z „Okopów Stalingradu”, z „Dni i Nocy”, z „Szozy Wołokołamskiej” — z „Wojny na tyłach wroga” — to powrót do ludzi o „czystym sumieniu” — o promienionych zwycięstwem i poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku — to powrót nie do obojętnej ojczyzny, nie na niepewny los, nie na głód i tułaczkę — lecz do oczekującego ich warsztatu pracy, do realizacji najśmielszych zadań, do budownictwa socjalizmu.

Droga powrotu żołnierza radzieckiego jest najkrótsza. Wiedzie prosto do domu. Powieść radziecka zerwała z problemem Odyssei.

Dla człowieka radzieckiego nie istniał problem, co robić po wojnie, nie istniał problem bezrobocia. Dlatego jeszcze na froncie żołnierze radzieccy mogli realnie zastanawiać się nad swoimi zadaniami po powrocie do domu — bez popadania w fantastykę i niedorzeczne marzycielstwo.

Dlatego, gdy Sakeńczyk Kesou myślał w okopach, jak Skagę Miłosierdzia zamienić na Skagę Urodzajności, czyli innymi słowy jak zużytkować naturalne fosforyty sakańskie do użytku państwa, gdy Ku-bajewczy Sergiusz Tutarinow marzył w czołgu o budowie elektrowni w stacji Ust-Niewińskiej, to nie były to rojenia w rodzaju szklanych domów, jakie snuł także powracający do Ojczyzny Baryka z „Przedwiośnia” a jakie nachodzą ludzi nekanych nostalgii, lecz realne pomysły, które miały wszelkie dane, żeby się urzeczywistniły. Taka jest moc socjalizmu.

2. BOHATEROWIE NA NOWYCH PLACÓWKACH

Nie jest przypadkiem, lecz właśnie uchwytnym zjawiskiem typowym, że powracający z wojny żołnierze wyróżniali się dodatnio w pracy na każdej placówce gospodarczej, że obejmowali kierowniczą rolę w gospodarce radzieckiej.

Kesou Mirba z „Wiosny w Sakenie” zostaje dyktantem w kółkach i inicjatorem oraz realizatorem wielkiego planu podniesienia pięciokrotnie wydajności gleby w drodze starannej uprawy, a zwłaszcza wykorzystania naturalnego nawozu mineralnego zawartego w Skale Miłosierdzia.

Sergiusz Tutarinow, „Kawaler Złotej Gwiazdy” obejmuje stanowisko przewodniczącego rejonowego komitetu wykonawczego, opracowuje 5-letni plan gospodarczy stacji Ust-Niewińskiej i umożliwia jego wykonanie.

Ten stosunek zdemobilizowanych do pracy pojmujemy łatwo, gdy u przytomności sobie, że żołnierze radzieccy traktowali stanowisko w pracy na równi z placówką bojową, że potrafili walczyć o produkcję w ten sam sposób, jak walczyli o zwycięstwo nad Niemcami. Był to dla niego nowy i nie mniej ważny front. „Wojnę skończyliśmy, więc co teraz? Rece założycie i czekać? A któż z nas nie marzył na wojnie o tej chwili, gdy będziemy mogli zakasać rękawy i zacząć budować. A przede wszystkim trzeba budować elektrownię...” — mówi Sergiusz do ojca.

Powracający z wojny żołnierze byli żołnierzami na „stalingradzką miarę”. Na froncie przyzywały się pokonywać wszelkie, zadawały im nadludzkie trudności i przeszkody. Nauczyli się aktywności, wytrwałości, dyscypliny i organizacji. Pojął, że żadna zdobycz nie wpada w ręce sama, że trzeba ją wypracować.

Tak jak pięcioletni stalinowski wychowywał dobrego żołnierza, tak z kolei wojna ocyżniana wychowała bohatera pracy.

„Pokonaliśmy w tej wojnie strasznego wroga, zadziwił się świat cały, czyż nie mamy rady z ziemią, choćby nawet z ziemią sakańską?” — mówi Kesou Mirba — i określa tymi słowami stanowisko żołnierza radzieckiego, który wygrawszy wojnę zbrojną wziął się z równym poświęceniem i bohaterstwem do walki o produkcję, o odbudowę i rozbudowę.

3. „GDZIE SŁOWO „CZŁOWIEK” BRZMI ZWYCIĘSKO”

Radziecka powieść o pracy w służbie socjalizmu przynosi potwierdzenie tezy, że tylko w ustroju socjalistycznym jednostka ludzka ma zapewniony pełny rozwój i możliwość realizacji swych zadań.

Popatrzmy na bohaterów omawia-

nych powieści. Są to ludzie prości. Nie dysponują osobiście ani środkami materialnymi, ani wpływem, ani władzą, a jednak zdemobilizowany chłop Kesou Mirba ma możność zrewolucjonizowania stosunków rolnych w swojej miejscowości i kilkakrotnego zwiększenia plonów, a inny chłop Tutarinow — urzędujący pięcioletniego planu gospodarczego kubańskiej stacji.

Obaj wprowadzają wielkie zmiany w życiu tysięcy ludzi.

Czy byłoby to możliwe w społeczeństwie kapitalistycznym? Kim by tam był i co mógłby zdziałać zdemobilizowany żołnierz?

Wolność i rozwój indywidualności w państwie burżuazyjnym jest fikcją, z której naigrywają się wtałmieni. Wolność i możność przejawiania indywidualności — tak, ale tylko dla tej znikomej części społeczeństwa, która posiada „złoty bilet”.

Może realizować swe pomysły i zasłużyć na miano „dobroczyncy ludzkości” Rockefeller — lecz większość takich przejawów indywidualności zmierzająca do osobistych zysków kosztem tych, których na „indywidualność” nie stać.

W Związku Radzieckim celem jednostki jest dobro ogółu. Jednostka wybitna spełnia rolę katalizatora poczynając mas, organizuje inicjatywę mas. W ten sposób urzędująca się demokracja realna — bo gospodarza. Zebranie członków kółchozu to szkoła rządzenia wspólnym dobrem. Zwykle, prosi ludzie zabierają głos w sprawach państwowych, planują, decydują, urządzają sami swoje życie.

Pokazanie tych stron życia kółchozu należy do najcenniejszych kart książki Babajewskiego.

Podobnie jak w powieściach wojennych zainteresowanie autorów skupiło się na małych lecz na najtrudniejszych pozycjach wysuniętych jednostkach bojowych i na najgroźniejszych odcinkach frontu, tak i powieści o socjalistycznej pracy obejmują odcinki gospodarstwa najtrudniejsze, te gdzie toczy się najcięższa bitwa o produkcję, a więc bądź gospodarstwo dotychczas zacofane, bądź zniszczone przez okupanta. Dlatego tematem powieści „Górnicy” jest odbudowa kopalni w Zagłębiu Donieckim. W powieści H. Leberkht’a p. t. „Światła w Koordii” zorganizowani chłopcy estońscy wspólnym wysiłkiem osuszają Węzłowe bagno. Pracę nad zwiększeniem plonów rolniczych pokazuje powieść E. Malcewa „Z całego serca”. Powieść „Wiosna w Sakenie” przenosi nas do zapadłej miejscowości kaukaskiej, do niedostępnego Salenu. — Babajewski w „Kawalerze Złotej Gwiazdy” ukazuje znowu wysiłek nad podniesieniem gospodarczym kółchozów kubańskich.

Ten wybór jest słuszny. Socjalistyczny marsz naprzód najlepiej oświeca od strony osiągnięć placówek zacofanych lub zniszczonych przez wroga. Tam na tyłach przebiega front najoporniejszy, najtrudniejszej walki o postęp — o produkcję. Tam najwyraźniej wypadła się charakter człowieka radzieckiego.

Inżynier Sajenko w powieści „Górnicy” mówi do Nikity znaną jamiąjąc go z pracą w kopalni. „Tutaj szybko rosną ludzie. Dlaczego? Dlatego, że w sztolni człowiek stoi twarzą w twarz z przyrodą, siera się z nią w pojedynku, tutaj jest mu łatwiej pokazać co jest wart. Przyroda zawsze się opiera, a w szybach pocyna sobie cłytze, stara się zbić człowieka z drogi, oszukać, odurza go gazami. Człowiek słaby duchem traci nieraz głowę, opuszcza ręce, ale górnik o silnej woli i sprytny, szybko odgaduje jej intrzygi, bierze ją śmiertelnym chwytym... łamie ją miazdzy, ujarzmia... tutaj słowo „człowiek” — brzmi tak zwycięsko, jak nigdzie”.

Gdzie leży źródło tej siły, która przywraca człowiekowi to zwycięskie brzmienie? Co nadaje prawdziwy wydźwięk słowom Górnika.

„Człowiek to brzmi dumnie?” — W jaki sposób człowiek radziecki dokonuje gigantycznych dzieł, takich jak odbudowa 2.500 km rozspanych sztyw w kopalniach donieckich jak wypompowanie 650 milionów m³ wody — osuszenie olbrzymich bagien estońskich. Co pozwala ludziom radzieckim w zapadłych kółchozach Kubania realizować budowę elektrowni, domu połączniczego, biura, czytelnia, laboratorium agrotechnicznego, budynków gospodarczych, zwiększać kilkakrotnie plony — jak to widzimy w tych wziętych z życia powieściach: „Górnicy”, „Kawaler Złotej Gwiazdy”, „Wiosna w Sakenie”, „Światła w Koordii”.

Źródło zwycięstwa człowieka radzieckiego leży w możliwościach jakie daje ustrój socjalistyczny. Nie tylko dlatego, że ustroj ten przynosi planową gospodarkę, organizację i racjonalizację pracy, że stawia do dyspozycji całego społeczeństwa wszystkie bogactwa i zasoby państwowe — ale przede wszystkim dlatego, że w warunkach socjalistycznych praca nabiera innego nowego sensu, że wytwarza się nowy stosunek do pracy.

Człowiek pracujący nie czuje się już najemnikiem, martwą siłą roboczą, zrównaną z maszyną i na równi z nią włączoną przez przedsiębiorcę do bilansu i na równi z nią

wyrzucaną na szmelc, gdy stanie się niepotrzebna. Między robotnikiem a maszyną, między chłopem a ziemią nie stoi już „ten trzeci” — kapitalista i obszarnek.

Ludzie radzieccy czują się prawdziwymi gospodarzami ziemi, zdobywcami przyrody — jak pisze Kuszelew.

Dysponując środkami technicznymi i naukowymi, ustawicznie usprawniają metody pracy. Praca przestaje być złem koniecznym do zarobienia na życie, stała się potrzebą, najpiękniejszym sposobem wyrażenia własnej wartości, odznaczenia się, zdobycia rangi społecznej — stała się źródłem radości jaką przynosi pełne wykorzystanie dla dobra społecznego swych zdolności i możliwości.

Stąd zapał, umiłowanie pracy, wynalazczość i pomysłowość, wiara w człowieka.

4. „RĄZEM Z NIMI JEST CAŁY KRAJ...”

Człowiek radziecki w swym wysiłku gospodarczym w realizowaniu twórczych planów znajduje opiekę i pomoc partii.

Oto obraz literacki o wielkim wyrazie artystycznym: Młody górnik kaukaski Kesou Mirba pięć dni wędruje do agronoma rejonowego, przebywając drogę pełną niebezpieczeństw. Na plecach ma worek ziemi. Jest to próbka potłuczonej „Skagi Miłosierdzia”, naturalny fosforyt, który może oddać nieocenione usługi przy uprawie ziemi sakańskiej.

Leż w rejonie panoszy się biurokracja. Agronom nie chce w ogóle rozmawiać z Kesou tłumacząc się brakiem czasu.

Co robi Kesou? Czy będzie bezskutecznie przeklinać biurokrację, czy zrezygnuje z pomysłu wykorzystania Skagi Miłosierdzia? Nie. Kesou wie gdzie szukać pomocy. Kesou zwrócił się do rejonowego komitetu partii. I nie odeszła z niczym. Partia będzie czuwać by Saken otrzymał maszynę do mielenia skały i zamienienia jej na wartościowy nawóz.

JULIAN FUCIK

O LATACH I BARWACH

Rok 1913. Carska Rosja. Pod względem zacofania w rolnictwie — kraj zajmujący pierwsze miejsce w świecie. Pod Rostowem szerokie, bezkresne stepy. Zawsze się je tak nazywało. Szerokie. Bezkrzesne. Don służył się cicho wśród niskich brzo-gów, wciskając się w nie, cicho snuje się Don.

Rok 1913. Carski przemysł ma dobrą koniunkturę. Fabryki idą pełną parą. Warsztaty wytwarzające maszyny rolnicze — również. Pan Antonow Pietuchin, obszarnek o skłonnościach do romantyzmu, wchodzi na dworzec. Pociąg rusza. Ciężkie ciało kołysze się na pluszowej kanapce. Moskwa niknie w perspektywie torów. Pan Antonow Pietuchin, obszarnek, po raz drugi w swym majątku. Pierwszy swój pobyt — był wtedy małym dzieckiem — słabo pamięta.

W Moskwie kazały wieści o epidemii szkarlatyny. Wywieźli go daleko do majątku. Pamięta: przykra samotność. Teraz, kiedy za raz drugi: uroczysty moment uroczystego wydzierżawienia. Mój Boże, a jednak tylko romantyzm! Na jego polu pracuje kosiarka. Prawdziwa kosiarka, maszyna, on kocha maszynę, nowoczesni poeci odkryli w nich wiele piękna, zamówił ją aż w Niemczech. Kosiarkę. Zorzę żółta, zieloną i czerwoną. Zachwycający obraz. Poświęci nawet noc, żeby ją widzieć jeszcze rano, bo niemi ręką wydobyla czyste i ostre tony. Bryzka toczy się po prowincjonalnej stacji. Pociąg odjeżdża. Szyby się rozbiegają. Moskwa. Pan Antonow Pietuchin opowiada. Między herbatą, pierożkami a winem — zorza żółta, zielona, czerwona. Goście zachwycają się: Rzeczywiście uderzający obraz! Dlaczego pan, Antonowie Serapionowicz, nie pisze wierszy? Stary stryj wyraża obawę: Żeby tylko, duszo ty moja, Antonowie Serapionowicz, nie przyszło z tego jakieś zło! Goście uśmiechają się taktownie. Antonow Pietuchin kłania się.

Rok 1913. Carska statystyka głosi wielki rozwój. W ciągu tego roku, młody, państwo nasze dojrzało do nowoczesnej uprawy roli. 826 fabryk pracuje dla naszych gospodarstw rolnych. Sprowadzamy maszyn z Niemiec, Austro-Węgier, a nawet z Ameryki. Wynosi to, wynosi to, tak, ogółem 110 milionów rubli. Za 110 milionów rubli wyprodukowaliśmy i sprowadziliśmy maszyn rolniczych w tym roku. Sto dziesięć milionów.

Rok 1914. Wojna. 1915. Wojna. 1916. Wojna. 1917. Rewolucja. Dziewięćset osiemnaście, dziewięćnaście, dwadzieścia. Rok 1927. Związek Radziecki. Pod Rostowem szerki bezkresny step. Nie wymyślił innego obrazu. Szeroki. Bezkrzesny. Wśród niskich brzo-

gów, wciskając się w nie, cicho snuje się Don. Rok 1927. Czerwiec. Przy stacji Naczerwaw-Dońskaja na stepie pod Rostowem osiemdziesięciu robotników kopie fundamenty. — Na co to, towarzysze, na cóż to? — Fabryka będzie. — Patrzenie, fabryka! A po co? — Kosiarki potrzebujesz, obywatelu, pluga maszynowego, siewnika, taka to będzie fabryka. — Nie, obywatelu, protestuję, czego mi nie trzeba, siwiek ciągnie, co mi po maszynę, śmierdzi paskudztwo. Za kilkanaście dni pojawił się w radzieckich gazetach projekt nowej fabryki: „Selsko - chozajstwiennoe maszynostrojnie”, w skrócie: Selmaszstroj.

Projektodawcy liczyli się z poglądem rozgoryczonego rolnika. Fabryka będzie wyrabiać plugi, żniwiarki i siewniki do koniowego zaprzęgu, wozy drabiniaste i osobowe, wyroby jej będą dostępne dla każdego małego i średniego gospodarza, taka to będzie fabryka. I co roku sama jedna, w przeciwnieństwie do 826 starych wytwórni, wyprodukuje maszyn rolniczych za 37 milionów rubli.

Rok 1927. Selmaszstroj w Rostowie nad Donem. Naczytasz się o nim, pisa-
sz o nim we wszystkich gazetach, w rosterskim „Molocie”, w „Lenin-
gradzkiej Prawdzie”, o jego zadaniach, preliminarzu i dlaczego właśnie w Rostowie nad donem.
Fabryka maszyn rolniczych. Trzeba będzie wiele drzewa. A niedaleko są bogate lasy Kubania.
Trzeba będzie żelaza i węgla. Z bliska, z północy wysłał Zagłębie Donieckie swoje pociągi.
Trzeba będzie prądu elektrycznego. Bliski Artiemstroj już pracuje.
Stąd rozchodzą się linie kolejowe i szosy na wszystkie strony świata, tu jest morze, Don i przysły kanał Wołga — Don, który łączy za jednym zamachem Samarę z Rostowem.
Na maszynę czeka południowa Ukraina, Czarna Ziemia, Kuba, Kaukazy. Rostów jest ich sercem. Sercem przyszłego kraju kółchozów. Kółchozy — tymczasem, zdaje się, marzenie, ale są w planie. Rostów także jest w planie: siedziba Selmaszstroju.
Rok 1928. Pod Rostowem płatnina drzewa, trawersów, dymu lokomotyw, pyłu wytwórni betonu, huk wiertarek, żuraw i młotów i tysięcy ruchów dziesięciu tysięcy robotników.
— No, obywatelu, będzie fabryka? — Będzie, obywatelu.
— Kiedy, pytam, czy nie zdaje się wam, że pracujecie za darmo? Czekamy, czekam ja, Matwiej Trifonowicz czeka, siwka czeka. Obiecujecie plugi. Gdzie on? A brony? Gdzie są, proszę ja was, obywatelu?
— Towarzysze, — mówi na naradzie kierownik Selmaszstroju, — pierwotny projekt już nie wystarczy. Trzeba go przerobić. Rozszerzyć pro-

jekt. Zrozumienie i pomoc w wykonaniu planu pięcioletniego stacji znajduje w partii również Tutarinow.

We wszystkich powieściach radzieckich spotykamy ten motyw kierowniczej roli i opieki partii w wielkim dziele odbudowy i rozbudowy gospodarki Z.S.S.R.

Uwolnione od klas wyzyskujących społeczeństwo radzieckie stało się niezłomnym monolitem. W powieści radzieckiej nie znajdziemy już banalnego konfliktu między starą a młodą generacją.

Istnieją różnice zdań, lecz szybko zostają likwidowane.

— Skoro warto zaczynać, zaczynajcie. Młodzi zaczęli, starzy pomagają... — mówi do Sergiusza jego ojciec Timofiej Iljicz Tutarinow i w tych słowach zamyka się synteza stosunków między starym a młodym pokoleniem.

Pomoc, starego pokolenia jest cenna. Prochor Nienaszew cieśla i fliśak w powieści „Kawaler Złotej Gwiazdy” organizuje spław 16 wagonów drzewa. Starzy górnicy emeryci na prośbę Sajenki z powieści „Górnicy” przystępują do pracy, swoje doświadczenie, radę i pomoc oddadzą sprawie odbudowy.

Rozkwit najdalszych zakątków kraju i szybki postęp w odbudowie możliwy jest także dzięki duchowi łączności, który przenika cały Związek Radziecki. Niedostępnie orle gniazdo górskie — Saken nie jest odcięte od Związku Radzieckiego.

„Wydaje się niektórym, że życie w oderwaniu od wszystkich. Nieprawda! Razem z wami jest cały kraj. Nie jesteście sami! Duch bolszewicki przenika wszędzie, przez wszystkie góry, przełęcz i rzeki. Spójrzcie — Aleksander Iwanowicz powródzi górala do mapy. — Oto Związek Radziecki. Wielkie, silne państwo. Wy jesteście jego częścią. Życie i pracujecie tak jakbyście żyli i pracowali w Moskwie razem ze Stalinem”.

Kiedy Sajenko z powieści „Górnicy” opowiada jak sprostał gigan-



N. Tomski — Portret dwukrotnego bohatera ZSRR A. S. Swirnowa

tycznym zadaniami odbudowy kopalni to akcentuje znaczenie człowieka w produkcji.

„Mam swoją metodę, zaczynam zawsze od ludzi, od nich zależy wszystko”.

Wszystkie radzieckie powieści umieszcili najważniejszy akcent na znaczeniu człowieka w produkcji. Stąd powieść radziecka uderza swym głębołkim, socjalistycznym humanizmem.

Z każdej karty powieści widać głęboką wiarę w człowieka. Kiedy przeglądamy np. galerię postaci z powieści Babajewskiego, Malcewa, Igriszewa wierzymy mocno, że tacy ludzie jak Sergiusz, Semion, Kesou, Irunia i Sajenko zwyciężą wszystkie

przeszkody i postawią na swoim, wierzymy, że z pracy takich jak oni wyrasta wielkość i potęga Z.S.S.R.

Ze radzieckiej powieści udało się tę wiarę w czytelnika wzbudzić — to jej czołowe osiągnięcie, a dla nas przykład.

E. NIZIURSKI

Bibliografia:

S. Babajewski — „Kawaler Złotej Gwiazdy”.
G. Gulia — „Wiosna w Sakenie”.
W. Igriszew — „Górnicy”.
H. Leberkht — „Światła w Koordii”.
A. Sakse — „Wzwyż”.
E. Malcew — „Z całego serca”.

62.500 przyczepek traktorowych;
30.000 kosiarek traw;
10.000 bron sprężynowych;
100.000 grabiark;
100.000 wozów ciężarowych;
12.000 ton części zapasowych.

Ogółem za 115 milionów rubli rocz-

nie.
To znaczy dzienne: sześćdziesiąt wagonów materiałów wjeżdża jedną bramą do fabryki, sto wagonów gotowych wyrobów wyjeżdża z fabryki drugą bramą.
Ogółem za 115 milionów rubli rocz-

nie.
Pana Antonowa Pietuchina, byłego właściciela ziemskiego, znajdziecie w Berlinie. Przy Oranienstrasse w okolicy Moritzplatzu w gospodzie starej i trzeciorzędnej, grywa wieczorem w bilard. Jego romantyczna dusza była bardzo przezorna. Do szesnastego roku uważała za korzystne interesy wojenne. Potem uznała za bezpieczny tylko bank szwajcarski. Poda wam wizytówkę. Po rosyjsku i po francusku. Stwierdzenie, że obecnie jest prywatną inicjatywą. Stali goście napomkną nowicjuszowi w zaufaniu, że jest on także handlarzem podręczanych rzeczy i że bilard w obecności nieznajomych daje mu natchnienie do opowieści o kosiarkach.

Robi to tak: Przyjdźcie, rozejrzyj się szybko poprzez dym wstrętnych cygar, dostrzeżesz nową twarz, wpatrzy się tragicznym wzrokiem w bilard: zielone sukno, kula żółta i czerwona.
Zielona, żółta, czerwona.
Kosiarka.
Usłyszeliście opowieść o cudownych barwach tej maszyny i o jej okrutnym losie.

Bolszewicy, panie, zniszczyli, rozbili, roznieśli w pył. Kosiarkę i świętą Rosję. Zatrzymali nasz rozwój...
Prawdopodobnie i wam pokaże pełnym gracji ruchem ręki i z lekkim ukłonem zetlały wycinek starej statystyki o industrializacji carskiego rolnictwa z roku 1913: 826 wytwórni maszyn rolniczych z roczną produkcją za siedemdziesiąt milionów rubli; import maszyn rolniczych za czterdzieści milionów rubli. Ogółem 110 milionów.

— Zniszczyli, — zapłacze ukazując wilgotny język — bolszewicy zniszczyli kosiarkę i świętą Rosję...
Nie mówcie mu tego, co ja mu powiedziałem. Zirykował się.
Powiedziałem mu:
— Nie wiem nic o pańskiej kosiarkach. Może zniszczyli, może nie zniszczyli. Ale statystyka, szanowny Antonowie Serapionowicz, jest przeciw panu. Postawili w Rostowie fabrykę. Wielką. Ona jedna — da więcej niż waszych osiemset dwadzieścia sześć, szanowny Antonowie Serapionowicz, nawet wraz z importem...
Nie mówcie mu tego.
Zirykował się.

Przekład H. Gruszczyńskiej-Dubowej

STANISŁAW CIEŚLAK

OPOWIEŚĆ O BUDOWNICZYCH NOWYCH LUDOWYCH CHIN*)

Polski czytelnik zna przebieg rewolucji chińskiej głównie od jej strony wojskowej. Rozumie również jej międzynarodowe znaczenie. Fakt bowiem powiększenia się rodziny państw walczących o pokój i sprawiedliwość społeczną, o drugie pod względem ludności, piąte zaś pod względem obszaru mocar-

stwo światowe, ma jasną zupełnie wymowę. O wiele mniej natomiast wiadomo o życiu chłopów i robotników chińskiego oraz o tych przemianach społeczno-gospodarczych, które zaszły w Chinach w związku ze zwycięską rewolucją ludową.

Nie od razu mógł się dokonać w

Chinach skok od feudalizmu do dyktatury proletariatu. Dlatego polityka Chin Ludowych, zwłaszcza w okresie walk o wolność na dwóch frontach z japońskim okupantem i armią Czaang-Kai-Szeka, musiała być polityką szerokiego frontu wszystkich postępowych antyfeudalnych sił w narodzie.

Pierwsze reformy rolne przed r. 1944 ograniczały się do zmniejszenia nadmiernych czynszów z 75% do najwyżej 37% wartości zbiorów i ustaleniu najwyższej dopuszczalnej stopy procentowej przy pożyczkach na 10% zamiast dotychczasowej stopy, od 30 do 100%.

Umowy dzierżawne zawierane między obszarnikami a chłopami straciły swój dotychczasowy pieważno-prawny charakter i poddały zostały zarówno pod kontrolę Związku Chłopów, nowej masowej, demokratycznej organizacji chińskich wsi, jak również samorządu terytorialnego.

Wielkie majątki obszarnicze nie zostały w tym początkowym etapie rewolucji podzielone, za wyjątkiem własności zdrajców narodu. Oto charakterystyczny dla tego okresu fragment wywiadu z r. 1944 z przewodniczącym związków zawodowych Wyzwolonych Chin Teng-Fa:

„Skoro tylko nasze wojska przyjdą do jakiejś miejscowości, ogłaszają robotnikom i chłopom wolność stowarzyszeń. Jeśli ludność nie wie, jak się do tego zabrać, mówimy im jak to się dokonało gdzie indziej. Równocześnie informujemy ich o ich prawach do zmniejszonych czynszów i lepszych plac. Nowe organizacje natychmiast po utworzeniu się wywołują obszarników do rozmów.

Wojsko i rząd nie wtarcąją się. Nie wydają żadnych poleceń obszarnikom, ani nie dają im rządowego poparcia, jakim się dotąd cieszyli. Gdy pertraktacje utkną na martwym punkcie, naszym zadaniem jest rozstrzygnięcie sporu, jeśli się do nas o to zwraca.

Ludność w wielu okęgach nie zyskuje nowych praw własną o nie walką, ale dzięki naszym zwycięstwom. Nie miała nigdy przewagi nad obszarnikami, bo obszarnik w stosunku do wsi był zawsze powagą.

Tak więc na początku chłopci bali się robić wszystko, co im zaproponowaliśmy. Długie doświadczenie pouczyło ich, że wojska przychodziły i odchodziły jak przyszły, wy-

wieszane zarządzenia zmywał deszcz, ale obszarnicy byli i są.

Często zdarzało się, że na wiecu chłopów przyjmowali rezolucję o zmniejszeniu czynszów, ale potem szli do dworu i zapewniali prywatnie, że będą płacić czynsze w dawnej wysokości.

Czasem po podpisaniu nowych kontraktów z właścicielami nie obstawali przy stosowaniu się do nich. Dziedzictwa lęku pofeudalnego nie można zniszczyć w ciągu jednego dnia.

Pierwszym naszym zadaniem było uczynić chłopów odważniejszymi, dać mu zaufanie we własne siły. Przekonałmy się, że żadne kazania nie są tak skuteczne, jak jeden szczególny przykład na cały okęg.

Tak więc wybieraliśmy jakąś podatną wieś, zbieraliśmy w niej doświadczonych i umiejących przekonywać robotników, by rozmawiali ze śmielszymi i inteligentniejszymi chłopami. Ci następnie dzielili się z kolei wiadomościami z innymi, którzy ich znali i wierzyli im, ale ciągle jeszcze patrzyli na nas nieufnie.

Po sukcesie w jednym miejscu, puszczaliśmy w obieg plakaty, które nie uogólniały sprawy tylko po prostu zawiadamiały: „Ludność wiośki Wang zawiązała organizację, wysunęła żądania do obszarników i wywalczyła takie a takie ulgi. Wiś znajduje się w pobliżu i każdy kto chce się sam przekonać, może pójść do niej i zobaczyć”.

Tak to było właśnie — mówił z zadowoleniem Teng-Fa. Nie przyszło to łatwo i nie można się było tego nauczyć z książki. Niektórzy z nas wymyślali ludność za jej zafacanie i chcieli cały proces skrócić przez wydanie zarządzeń. Szybko odrzuciliśmy te wnioski, bo trwałych zmian nie można narzucić z góry, muszą one być czynem ludności.

Urządnicę może wydawać masę różnych radykalnych przepisów i sadzić, że jest daleko na przodzie przed innymi, ale niech tylko odejdzie, wszyscy cofną się do stanu poprzedniego.

Jeśli jednak, ludność sama uczyni krok naprzód, o własnych siłach — zmiany zostaną. Nawet gdy nieprzejawiać skłonić ich zdobyć ogniem i mieczem nie zabije pamięci, a lud spróbuje znów wrócić do nich przy najbliższej okazji... (str. 199).

Nowe prawa nie mogły jednak załatwić same całego problemu podstawy ekonomicznej dla naszych wojsk. Nie można było również uporządkować interesów klasowych na dłuższy samymi tylko przepisami prawnymi.

Najważniejszym zagadnieniem dla kraju było podniesienie wysokości zbiorów w dobrych latach, tak aby ludność mogła przeżyć bez głodu lata chude”.

Głębia lessowa w Chinach jest niezwykle urodzajna przy sprzyjającej pogodzie, ale co 3 lub 4 lata większość zbiorów niszczy w posuchach lub powodziach.

W starym systemie społecznym, uprawa w tych warunkach była ogromnie ryzykownym zajęciem dla jednostki, która zbierała tyle, by wyżyć, a czynsze i podatki zostawiały ją bez zapasu. Pokolenia za pokoleniem pracowali chłopcy i co parę lat tysiące marły z głodu lub musiały wędrować za chlebem.

Aby unowocześnić uprawę roli, podnieść produkcję, zastosować meliorację itp. zaczęto zakładać spółdzielnie pracy na wsi pod nazwą: Grupa Wymiany Pracy.

„Grupa” tworzyło dobrowolnie kilkunastu sąsiadów-rolników, wybierając przewodniczącego i łącząc razem swe siły, zwierzęta pociągowe i narzędzia na sezon robót polnych. Samej ziemi nie kolektywizowano, każdy kawałek pozostawał własnością chłopów.

Sąsiadujące jednak pola spółdzielców zaorywano razem od końca do końca. Poszczególne pola oddzielali teraz kamienie tylko lub kopce graniczne, a nie jak przedtem ścieżki i miedze.

W ten sposób zyskiwano dużo czasu. Jedna grupa, 11 chłopów opowiadała mi — pisze autor — że przedtem każdy musiał wywieźć na pole prawie cały wóz nawozu i ziarna do siewu, a teraz 2 chłopów i 5 wółw robi to samo dla wszystkich.

Wydajność pracy jest również z łatwością utrzymywana. W polu cała grupa podąża za nadającym tempo.

„Czy nie macie strat z tego powodu, że właściciel stracił kontakt z własną ziemią?” — zapytał autor jednego z chłopów — „kiedy grupa pracuje na moim polu — odpowiadają chłop — ja pilnuję tempa i jakości pracy, tak aby wszystkim było porządnie zrobione. Kiedy przechodzimy na sąsiednią działkę to samo robi sąsiad bo jest na

swoim. Jeśli on pracował dobrze na mojej działce, to czyż ja mogę pracować gorzej na jego?”.

W czasie zniw ziarno każdego chłopca składane jest na jego ziemi, po czym zebrane ogólnie decyduje, czy od właściciela działki należy się wynagrodzenie do wspólnej kasy, jeżeli włożono więcej pracy w działkę, niż mogłoby ją dać właściciel ziemi.

Wymiana pracy jako nowy społeczny sposób pracy na roli propagowany był szeroko głównie przykładem. Wszystkie początkowe sukcesy były szeroko publikowane. Wynalazca tego typu spółdzielni produkcyjnej młody chłop Wu-Man-YOU stał się po r. 1940 sławnym człowiekiem wśród 100 milionów ludzi Ziemi Wyzwolonych Chin. Do roku 1944 połowa rolników Yennana zorganizowana już była w takich grupach produkcyjnych (str. 210).

Książka omawiana zawiera sporo tego typu co wyżej cytowany, ciekawego materiału faktycznego. Autor bowiem od 1917 do 1947 roku był naczelnym świadkiem rozgrywania się w Chinach wypadków. Stąd dokumentarny charakter jego obserwacji.

Należy być jednak ostrożnym w wyciąganiu wniosków o dzisiejszych Chinach na podstawie tylko książki Epstein’a.

Revolucja bowiem w Chinach trwa. Od 1947 r. t. zn. od daty ukazania się książki Epstein’a polityczne i społeczne przeobrażenia Chin uległy dalszym, głębszym zmianom.

Aby poznać istotę tych przeobrażeń trzeba zrozumieć w jaki sposób idea socjalizmu zdobywa dla siebie nieproletariackie, chłopskie warstwy średnie wśród wszystkich narodowości i plemion.

Do tego omawiana książka już nie wystarczy. Trzeba sięgnąć do klasyków marksizmu zwłaszcza do dzieł J. Stalina „Zagadnienie leninizmu”, oraz „Marksizm a kwestia narodowo-kolonialna” (Warszawa, 1948). To ostatnie dzieło zawiera również rozdział o wstępnym etapie rewolucji chińskiej.

Wtedy dopiero otrzymamy pełny obraz wypadków i ujrzymy całą perspektywę rozwojową rewolucji chińskiej.

STANISŁAW CIEŚLAK

*) I. Epstein, Rewolucja w Chinach trwa, Warszawa 1949, str. 325, Państwowy Instytut Wydawniczy.

NA MARGINESIE MITU

Dokończenie ze str. 10

W dziejach burżuazji nie brak oczywiście nader wzniosłych kart. Dotyczy one okresu jej młodości, czasu jej wstępu do rewolucyjnej, burzenia porządków feodalnych, przecistawienia scholastyce rozumu, religii nauki, organizacji manufaktur wielkiego przemysłu fabrycznego, reko-

działu techniki, alchemii, chemii i absolutyzmowi demokracji formalnej oraz przywilejom stanowym zasad równości w obliczu prawa.

Ala postępową rolę kapitalizmu, szczególnie na Zachodzie a zwłaszcza w Ameryce należy obecnie do bardzo odległej przeszłości. Burżazja dziś nie tylko, że nie jest tam zainteresowana w dalszym postępie i rozwoju techniki, nauki i kultury, ale — kurczowo trzymając się swoich zdobyczy oraz w imię ich obrony — na miejsce nauki wnosi znowu mistykę, rozumowi przecistawia Boga, by zapobiec deprecjacji swoich inwestycji przeciwdziałając wykorzystaniu nowych wynalazków i renowacji fabryk, w pogoni za zyskiem niszczy dobra i skazuje miliony ludzi na bezrobocie i nędzę. Dopatrując się niebezpieczeństwa dla swego panowania we wzroście świadomości mas ludowych, jest zwolenniczką obskurantyzmu. Wyrazem demokracji jest dla niej formalna równość przed prawem milionera i bezrobotnego. Swobody obywatelskie, w jej pojęciu polegają na prawie do nieskrępowanego wyszku.

W warunkach ustroju kapitalistycznego epoki imperializmu, epoki jego rozkładu, epoki wstrząsających nim kryzysów i wojen, mówić o przodującej roli kultury burżuazji może być tylko szyderstwem z kultury. Ciemnota i nędza, właśnie narodowe i rasowe, likwidacja swobód obywatelskich i ucisk ludów nie tylko kolonialnych, wzrost przestępczości i prostytucji, zbrodnie wojenne, zbrodnie przeciw pokojowi i ludzkości oraz ludobójstwo, upadek moralności, prawa, nauki i sztuki oraz ciężki spadek poziomu życiowego mas ludowych — oto są najbardziej znamienne cechy współczesnej kultury burżuazji. Jeżeli może ona pretendować do jakiegokolwiek pierwszeństwa i wyróżnienia, to chyba tylko w przedmiocie swojej reakcyjnej roli. Jeśli zaś chce się ona wyższym poziomem życia, należy pamiętać, że dotyczy on tylko górnych warstw społeczeństwa. Te warstwy zaś mogły sobie zapewnić wyższy poziom życia tylko poprzez wyszku kolonii oraz poprzez dochody, ciagnione z ujarznienia innych narodów w drodze podboju lub dyktatu ekonomicznego).

Człobitność wobec Zachodu, zwłaszcza wobec dzisiejszej cywilizacji amerykańskiej, jest więc człobitnością wobec sposobu i poziomu życia garstki uprzywilejowanych, którzy doszli do tego poprzez krew i pot, bezgraniczną eksploatację i nędzę milionów kolorowych i białych niewolników. Kult nauki, literatury, sztuki, kultury w ogóle a prawa w szczególności narodów zachodnich, zwłaszcza anglosaskich, nie może więc być niczym innym, jak tylko kultem takiej nauki i takiej kultury oraz takiego prawa, które służy imperializmowi, które usprawiedliwia i teoretycznie uzasadnia oraz gloryfikują ustrój przywilejów dla jednostek i nędzy dla mas, ustrój w obecnej fazie jego rozwoju zatłaczający fetorem rozkładu coraz bardziej postępującego w miarę jego pętrzących się trudności gospodarczych oraz sprzeczności społecznych i politycznych.

Przodująca dziś kultura jest kultura socjalistyczna, kultura narodów, które burzyły porządku kapitalistyczne i zlikwidowały raz na zawsze źródło wyszku człowieka przez człowieka, źródło nędzy i bezrobocia. U-dostępniając oświatę, naukę i sztukę milionom ludzi, zapewniając każdemu równość startu życiowego, walcząc o coraz wyższy poziom życiowy mas ludowych, o ich awans społeczny i o ich bezpieczeństwo — socjalizm jest rekojmnią postępu, rozwoju kultury oraz warunkującego ich pokój.

Niewątpliwie pod każdym względem priorytet kultury narodów radzieckich nie jest zresztą wcale pozbawiony szczytnych tradycji. Narody wschodu. Europy i Azji nigdy nie należały do narodów zacofanych, choć dużej od innych cierpiały od ustroju feodального, choć carat zniesiony został dopiero przez Wielką Rewolucję Październikową. Zwycięstwo dyktatury proletariatu i powstanie Związku Radzieckiego nie jest i nie mogło być wynikiem zacofania narodów, które wkroczyły na drogę socjalizmu. Przeciwnie, obecna ich wyższość ustrojowa i kulturalna pozostaje w ścisłym związku z faktem, że w przeszłości nie ustępowali nikomu pierwszeństwa, górując nad innymi, szczególnie w dziedzinie żywotności i mocy postępowych elementów swej kultury.

Istotny jest wprawdzie wpływ, jaki wywiera ustrój społeczny na kształtowanie się kultury narodu, ale postępową kulturę tworzą w ostatnim rzędzie masy ludowe oraz rzecznicy ich interesów, a nie eksploatujące je klasy i postać ich aparatu

przymusu państwowego. Carat tłumili talenty ludowe, uniemożliwiał im zdobywanie rozgłosu światowego i nie popierał ich. Tysiące tych talentów na każdym polu nie były w stanie znaleźć się rozwijać i zapewnić sobie urzędowo niezaprzeczalne pierwszeństwa swych osiągnięć. Dlatego dziś za odkrywców wielu wynalazków uchodzą Anglicy, Francuzi czy Niemcy, pomimo, iż wyprowadził ich Stowianie. Przykład: lampa elektryczna, czy pierwszy aparat radiowy i wiele innych odkryć z każdej dziedziny nauki czy działalności ludzkiej. A nazwiska Kopernika i Zomonosowa, Mieczurina i Curie-Skłodowskiej, mówią same za siebie. Szczególnie doniosły jest wkład narodów słowiańskich w dzieło rozwoju myśli społecznej i czynu rewolucyjnego.

Wiekopomną zaś zasługą narodów radzieckich jest nie tylko zbudowanie pierwszego w świecie państwa socjalistycznego, ale i ocalenie dzięki temu ludzkości przed barbarzyństwem faszystym, rozgromienie hord hitlerowskich i wyzwolenie ludów okupowanych oraz stworzenie podstaw dla wyzwolenia ludów zawisłych.

Historyczna doniosłość palmy pierwszeństwa narodów radzieckich w tej dziedzinie jest i zostanie na zawsze bezsporna.

Niekwestionowana pseudonauka burżuazji, według której socjalizm jest wytworem narodów niższego gatunku i kulturalnie zacofanych w przeszłości i teraźniejszości, jest tylko — przejrzywym zresztą — wyrazem reakcyjnej polityki. Zmierzając do zohydzenia narodów radzieckich w oczach mas ludowych na zachodzie, obliczona jest ta reakcyjna polityka na to, iż potrafi obrzydzić dyktaturę proletariatu i zahamować walkę o socjalizm. Temu też celowi służą jak najciszej z tą polityką związane i na niej oparte ideologia kosmopolityzmu, ideologia tworzenia rządu światowego z hegemonią narodów, rzekomo wyższych kulturalnie, a faktycznie z hegemonią panujących klas w państwach kapitalistycznych, znajdujących się w stanie rozkładu.

Demaskowanie teorii o pseudo-priorytecie (pierwszeństwa) kultury zachodniej i burżuazji kosmopolityzmu posiada więc olbrzymie znaczenie nie tylko dla narodów radzieckich, ale i dla wszystkich narodów, szczególnie dla tych, których formę polityczno-ustrojową stanowi demokracja ludowa. Posiada ono szczególne znaczenie dla narodu polskiego. Warunki półtorawiekowej niewoli, napływu faszystowskiego reżymu lat międzywojennych i wreszcie okupacji hitlerowskiej sprzyjały pokuciu nie-pamięcią wielu cennych, doniosłych osiągnięć o znaczeniu światowym, przemierzanych na Zachodzie jako nasz dorobek lub wręcz przedstawianych jako zasługa innych.

Falszstwo historii nauki i kultury jak i dzieł poszczególnych narodów, w szczególności fałszowanie historii narodów, które przewyciężyły już kapitalizm i wkroczyły na drogę socjalizmu, jest niewątpliwie tylko jednym z bardziej wyrafinowanych środków walki z socjalizmem. A przecież, gdy tworzymy naszą nową ludową i socjalistyczną kulturę, kiedy nieznanym dotychczas w naszych dziełach jej rozwojem dajemy olbrzymi wkład w dzieło walki o postępowość, o demokrację i pokój, z dumą możemy spoglądać wstecz na przebiegającą spuściznę naszej historii.

Demokracja ludowa doszła do władzy w Polsce w szczególnych warunkach historycznych, dzięki militarnemu rozgromieniu faszystów przez Związek Radziecki i dzięki jego roli, gdyż autorytet i potęga ZSRR ośmieliły i obezwładniły rzeczników obecnej interwencji i wewnętrznej kontrrewolucji. Sprawując tę władzę możemy jednak czerpać nie tylko to doświadczeń i osiągnięć przodujących narodów radzieckich, ale i z naszych własnych zdobyczy, z niewątpliwych osiągnięć na polu nauki, kultury, sztuki, a zwłaszcza z tradycji walki narodu polskiego o postępowość, wobec doniosłej roli, którą naród polski odegrał w walce z wstępczością, o godność człowieka i wolność narodów na wszystkich szczeblach rewolucji u siebie, w całej Europie i poza nią.

W ideologii burżuazji kosmopolityzmu, postulującej potrzebę podporządkowania się państwom kapitalistycznym, jako rzekomo kulturalnie wyższym, możemy się dopatrzyć jedynie ideologii wroga naszej niepodległości, usiłującej zdegradować nasze wartości narodowe, zdeprecjonować nasz wkład do ogólnoludzkiej kultury, tworzonej z dorobku poszczególnych narodów.

W obliczu roli tej ideologii jako narzędzia walki z socjalizmem, jako oręża polityków imperializmu, podlegających do nowej wojny, zrozumiałą musi być zatem aktualność w równej mierze polityczna jak i naukowa ujawniania celu, przysługującego fałszowaniu historii narodów i nauki, wydobycia na światło dzienne walorów dorobku narodowego z przeszłości i demaskowania tendencji kosmopolitycznych we wszystkich dziedzinach wiedzy ludzkiej

LESZEK GOLIŃSKI

OJCIEC PIERWSZEJ REPUBLIKI

Henryk Mann, krytyk mieszczaństwa umiał wyróżnić elementy postępowe w społeczeństwie niemieckim: proletariatu pozostał więc najbliższy. Nie oznacza to, aby był bezstronny wobec socjaldemokracji niemieckiej i popierających przez nią kardynalnych błędów.

W najlepszej swej powieści w „Poddany”, przedstawia Henryk Mann dwa pokolenia demokratów niemieckich z końca w. XIX i początku XX. Jedno stanowią starzy bojownicy z okresu Wiosny Ludów. Ludzie ci nie reprezentują jednak realnej siły, choć pozostają w przymierzu z młodszymi liberałami. Mieszczański liberalizm, wierzący ślepo w zdobycze konstytucyjnej, powoli zamiera: żyje wciąż jeszcze wspomnieniami młodości, upaja się parlamentaryzmem, wyżywa się w poezji; swoje wolnościowe i rewolucyjne zapędy obraca w kierunku dysput, a w najlepszym wypadku — projektów budowy domu dla podrózków. To już tylko agonia wielkich tradycji mieszczaństwa niemieckiego; to nędzne resztki, ochłapy dawnej świetności. Gnając w ciepłym zaułku, liberalizm mieszczański nie jest zdolny do żadnego ruchu, do żadnego zwrotu: przegrywa batalię za batalią, ustepuje pola nacjonalizmowi, choć parzy nań z uśmiechem ironii i z odzieniem wyższości. Młode pokolenie liberałów stacza się szybko w objęcia anarchii, albo zdradza swoje ideały i idzie na współpracę z narodowcami dla uratowania swoich kapitałów. Tak czyni właśnie Wilhelm Buck, syn wielkiego liberała. W młodości Wilhelm Buck toczy zaciętą wojnę z Diederichem Hesslingiem. Kiedy ten jednak widzi się do fabryki jego ojca, wykupując większość akcji, pozostaje Wilhelm Buck wiernym resztkom swego kapitału — sztem własnych młodzieńczych przekonań.

Postać, która łączy w całość powieści Henryka Manna, „Poddanego” i „Biednych” jest były maszynista w fabryce Hesslinga Napoleon Fischer. To również dobry robotnik, jak rzeczą polityk. Wydaje się nieporozumieniem, że Hessling toleruje go w ogóle w swojej fabryce. „Dla mnie każdy socjaldemokrata oznacza wroga mego zakładu i mojej ojczyzny” — woła ten cesarz prowincjonalny, mapując berliński oryginał, a pomimo to toleruje w swoim zakładzie jawnego wroga, Fischera. Zagadka zostaje rychło rozwiązana: i Hessling i Fischer pomimo swojej pozornej naiwności są zbyt przebiegłymi politykami, aby nie byli sobie potrzebni. Hessling wie, że usunięcie Fischera wywołałoby strajk, którego, jak to zobaczymy w „Biednych”, pa-

niczne się boi. Hessling zdaje sobie doskonale sprawę z użyteczności Fischera, który jest jego tarczą ochronną, a w dodatku za wiele wie o drobnych oszustwach swego szefa. Dlatego Fischer i Hessling, profaszyści i socjaldemokrata mogą żyć pod jednym dachem. Alians taki jest zresztą i po myślim Fischera. Henryk Mann odsłania nam już w „Poddanym” pierwsze oznaki zdrady socjaldemokracji niemieckiej, pierwsze objawy jej oportunizmu i legalizmu. Przecież nikt inny, tylko sam Fischer mógłby otworzyć do Hesslinga: „My w naszej partii zwracamy uwagę na ruch narodowy. Lepsze interesy można robić z narodowcami, niż z liberałami. Burżazja demokracja wróćcie i tak pojedzie z nami w jednej dorozce”.

Nachodzi gorący okres wyborów do parlamentu. Cesarz rozpedził starą, niedość powolną mu izbę. Partia narodowa zbyt jeszcze słaba jest, aby wysunąć swego kandydata, a za głównego wroga uważa liberałów. W takiej sytuacji, w małym miasteczku Netzig, podobnie zresztą, jak i w wielkim Berlinie, dochodzi do sojuszu z socjaldemokracją. Nacjonalizm i socjaldemokracja idą w jednym bloku do wyborów. Fischer zostaje wybrany; w parlamencie będzie godnie reprezentował interesy swego chlebobawcy, kontynuując i udoskonalając swoją rozłamową politykę w szeregach robotniczych.

Na gorącym uczynku przypłaję go autor w „Biednych”. Obie powieści dzieli kilkadziesiąt lat i oto widzimy, co stało się z zaufanym człowiekiem niemieckiego proletariatu — Fischerem. „Wszystko rozwija się historycznie — tłumaczy on robotnikom, pragnącym strajku — nie trzeba uciekać się do czynów. Kapitalizm sam się wykończy”.

Reformizm Fischera rychło doprowadza go do jawnych konszachtów z kapitalistą, więcej, do zdrady i przekupstwa. Za trzydzieści srebrników sprzedaje się przywódcą socjaldemokraty Hesslingowi, spiguje i prowokuje robotników, by w rezultacie powiększyć ilość swoich akcji w zakładach hesslingowskich. Zdeklasowany robotarz szybko tonie w błotku mieszczaństwa, tyle i zapomnia o swoich zadaniach. To już jest arystokrata robotniczy, schyłkowy produkt ustroju kapitalistycznego, rozłamowicie i łamistrak. Jutro będzie oklaskiwał mowę cesarza w dniu wybuchu wojny i z patriotycznym frazesem na ustach każe iść swoim towarzyszom — robotnikom na rzeź.

Przeciwnikiem Fischera jest Balrich. To drugi typ robotnika niemieckiego z lat dziesiątych naszego

stulecia. Człowiek ten zbyt dużo myśli, aby podobał się pracodawcy, zbyt dużo widzi, aby był posłusznym narzędziem w rękach kapitału. Ale Balrich nie jest zorganizowany, pogardza zresztą partią, której przywódcą tacy Fischerowie. Wyrusza sam jeden z motyką na słońce: nie chce nacjonalizacji fabryki, chce ją tylko na podstawie jakichś starych świstków papiera nabyć na własność. Jest wrogiem dla Hesslinga groźnym i twardym, nieprzekupnym i upartym. Cóż, kiedy sam, pomimo swego uporu i swoich wyzweceń, nie przeprowadzi walki zwycięsko do końca. Nie przebieje głową mury. Hessling ma do swojej dyspozycji bagnety i kule, cesarza i złoto, a co ma Balrich? Stałowy upór i zniszczony kwit na pożyczone ongiś młodemu Hesslingowi pieniądze. Walka jest nierówna i od samego początku beznadziejna. Balrich wie dobrze o tym, ale nie uczy go ta proporcja niczego. Nie potrafi poprowadzić za sobą robotników, nie potrafi zdobyć się na głębsze spojrzenie. Idzie samotny, otoczony nieufnością.

a gdyby zwyciężył, zostałby z biegiem lat drugim Hesslingiem.

Balricha — maszynę budzi z odrętwienia dopiero wybuch wojny. Oczywiście, mobilizacja jego w pierwszym rzędzie powołuje pod broń. Nie wiemy, jakie były dalsze losy Balricha. Może zginął na tak zwanym polu chwały, może powrócił listopadowym porankiem do robotniczych bloków. Hessling zamiast papieru wyrabiać będzie w swoich zakładach, a potem broń tę obróci przeciw tysiącom Balrichów, gdy wybije godzina niemieckiej rewolucji.

Na paryskim kongresie w obronie kultury w roku 1935 Henryk Mann powiedział: „Szczery demokracja musi zdać sobie sprawę z tego, że tylko marksizm stwarza podstawy pod prawdziwą demokracją”. Aby dojść do takiego przekonania, musiał Henryk Mann przełknąć całą gorzkość rewolucji niemieckiej roku 1918 i 1919, musiał przeanalizować owoce klęski, musiał przetrwać upokorzenie republiki. Ostrość i jasność spojrzenia dała mu gruntowna znajomość narodu niemieckiego, przetrzaśnięcie kulis polityki Niemiec, odkrycie kart partii i stronniczości. Tylko wtedy i dopiero wtedy mógł przystąpić do właściwego osądu czasów hitlerowskich.

W maju 1919 roku zarzucił Mann o-twarcie socjaldemokracji niemieckiej, iż jej sposób myślenia i postępowania stał się jawnie kapitalistyczny i nacjonalistyczny. „Socjaldemokraci są drobnomieszczański — pisał — którzy nie pragną niczego

innego, jak swoim dzieciom i wnukom zapewnić lepsze życie”.

Gdy nadeszła jednak godzina rewolucji, a pobite oddziały, wracające z frontu, powitane zostały przez prezydenta republiki w Berlinie słowami: „Nie zwyciężeni w bitwie...”

— Henryk Mann, pełen egzaltacji i oburzenia, przystępuje do szerokiej działalności publicystycznej i politycznej. Teraz uzyskują bojkotowane przez cesarstwo książki Manna posłuch i uznanie; mnożą się z zadziwiającą szybkością artykuły prasowe i essay’e, przestrogi i wskazania. Mann staje się naprawdę ojcem duchowym pierwszej republiki. Asystuje przy jej narodzinach, jest akuszerką demokracji niemieckiej. „Sprawiedliwość wymaga uczynienia socjalizmu — pisze w grudniu 1918 roku — Teraz winien on być u-rzeczywistniony. Jesteśmy za tym nie tylko naszym rozumem, ale i naszym sercem”.

Złożysz taką deklarację, pouczasz dalej Niemców:

„Będziemy musieli wszyscy ciężko pracować, to pewne: ale nie, jak dawniej, dla państwa panów, które zostało nam narzucone, ale dla państwa ludowego, o które sami walczylimy, które jest naszą własnością, którego nigdy nie wolno nam zdradzić”.

Mann rozumie, że jednoklasowa robotniczej jest rekojmia zwycięstwa. „Jest ona pierwszym warunkiem, gdy walka rozpocznie się z całą siłą, a wygrać ją można tylko przez jednoklasową robotniczą. Tylko zjednoczona klasa robotnicza tworzy potęgę. Bierza ona robotników całych Niemiec do walki z dyktaturą faszystowską. Wolność Niemiec od niej tylko zależy”.

Prorocze słowa: nie tracą one w Niemczech swojej aktualności. Nie o przeprowadzanie historycznych analogii nam jednak chodzi: wiara w odporność i wierność klasy robotniczej nie opuściła Manna nawet wtedy, gdy był na emigracji, nawet wtedy, gdy robotnicy niemieccy w mundurach Wehrmachtu na rozkaz Hitlera przystępowali do ataku na granice Polski! (Hitler)... bał się — pisał Mann — jak tylko boi się ścigany, zdrajca i fałszywy prorok swego zdemaskowania, niemieckich robotników. Gdy rozpoczął wojnę, nie byli ci robotnicy jeszcze na tyle dojrzały, by mu pomóc w napaści na Związek Radziecki. Musiał przed tym zorganizować kilka marszów triumfalnych, zanim opomógł ich na tyle, że między rewolucją a wojną nie widzieli już różnicy”.

Dokończenie na str. 12

*) Por. R. Werfel: Przeciw nacjonalizmowi i kosmopolityzmowi. Nowe Drogi Nr 3/49, str. 71.

Maciej Koliba

Nie zacierać problemu teatru amatorskiego

Z zainteresowaniem zacząłem przeglądać artykuł Tadeusza Byrskiego, drukowany w 13 nr. „Odrodzenia”. W sprawie rogatek (kulturalnych między wsią i miastem) — prosi o głos praktyk światłocowy, organizator amatorskiego teatru dziecięcego i bodajże kierownik jednego z uniwersytetów ludowych (za to ostatnie nie rezę). Sprawa jest frapująca. Na ile Byrski, organizator kulturalny „terenu”, mający duże doświadczenie, posunął naprzód zagadnienie upowszechnienia kultury teatralnej, bo ten problem przede wszystkim go interesuje. Uważniejsza lektura artykułu wzbudziła jednak we mnie poważne wątpliwości. Muszę tu pominąć cały szereg błędnych sformułowań autora w rodzaju: „Nasza wieś przeszła kryzys (?) kończących się dawnymi autorytetów, dworu i plebanii”. Twierdzić, że wieś wyzwoliła się z dawnych autorytetów, to jest kapitalistycznej ideologii — jest co najmniej nieostrożnością, jest zakrywaniem o-czu na największe gniazdo oporu przy każdej robocie kulturalnej na wsi. Pominę również nieścisłość — dla prawidłowego dziś postawienia zagadnienia upowszechnienia kultury — powołanie się przez Byrskiego na wypowiedź z „Młodego Pokolenia Chłopów”: „Widzę i czuję kolo siebie te skarby kultury i sztuki, ale nie mam kluczyka, którym mógłbym to wszystko otworzyć”. Bo przecież wówczas młody pamiętnikarz zgłaszał swoją tęsknotę do tej kultury, jaką dla siebie preparowała klasa panująca, nieostrzeżony pragnął wejść w kulturę burżuazijną — u-wodził go wzór mieszczańskiego konsumenta kultury.

Te mimochodem zrobione przeze mnie zastrzeżenia odsłaniają i rzucają światło na ujęcie przez Byrskiego zagadnienia podstawowego, mianowicie FUNKCJI I ZNACZENIA TEATRU AMATORSKIEGO. Byrski wyraźnie poplątał tu sprawę błędnie rozumiejąc funkcję kultury w dzisiejszym ustroju. Zapomina on, że kultura społeczeństwa, które jest „na drodze do socjalizmu” jest kulturą wynikającą z walki — i o percepcji dawnych treści kulturowych i w tworzeniu nowych wartości, że nie jest to tylko suma dóbr do

„wymakowania”, która przecież należy się także wsiom, osiedlom i miasteczkom. Chłop czy robotnik jest dzisiaj zainteresowany kulturą jako jej konsument, ale nie zapominajmy, że ten nowy konsument kultury jest budowniczym nowego ustroju. Z tych właśnie względów chłop i robotnik pragnie brać udział w tworzeniu takiej kultury, która im w budowie tego ustroju pomaga.

Mamy dzisiaj teatry zawodowe i teatry amatorskie. Stoiśmy na stanowisku, że i jedne i drugie muszą grać sztuki ideologicznie poprawne i artystycznie udane. Twierdzimy, że zespoły światłocowe już poprzez samą robotę warsztatową nad sztuką — poszerzają swoją świadomość kulturalną, oddziaływując tym samym korzystnie na swoje szersze środowisko. Pełna udatność wystawienia sztuki — jakkolwiek jest zagadnieniem ważnym o rozwiązaniu którego się dzisiaj bijemy — nie jest dla dzisiejszego teatru amatorskiego momentem rozstrzygającym.

Sprawa dla nas jest jasna. Troszczyć się dzisiaj o kadry kierowniczkowe zespołów światłocowych, fabrycznych i wiejskich, opracowywujących repertuar, który w wielu pozycjach jest zbieżny (poprzed adaptacje) z repertuaru teatrów zawodowych. I to jest chyba najistotniejszy moment dla usunięcia rogatek kulturalnych między wsią i miastem. Byrski tego nie dostrzega. Byrski, zwycięzcy naszych publiczności, rozpoczyna sprawę od początku — proponuje nową formę teatru — TEATR POWSZECHNY. Mówi o nim: „musi to być w dobrym rozumieniu OMNIBUS, instytucja, która zestrzezi w sobie wszystkie rodzaje artystycznego oddziaływania. Życie LITERACKIE, OŚWIATOWE, MUZYCZNE, ROZRYWKOWE, może się zmieścić w teatrze — domu kultury”. Czyż trzeba było aż nowego terminu, aby podciągnąć pod niego te wszystkie funkcje, jakie dzisiaj już spełnia świetlica fabryczna czy wiejska. Chyba, że Byrski uważa, że dyskusje nad problemem organizacji kultury polegają na wyszukiwaniu coraz to nowych nazw. A przecież ten okres u nas się już skończył. Zagadnienie można już i należy traktować merytorycznie.

Byrski w swoim zapale, „żywiłowego organizatora” pomieszał zupełnie zagadnienie teatru amatorskiego, prowincjonalnego (jak w Kaliszu, Świdnicy, Rzeszowie czy Białymstoku) i objazdowego. Godzimy się oczywiście z tym, że ważna jest funkcja teatru objazdowego, ale nie wypierajmy nim teatru amatorskiego, bo to są dwie różne sprawy. Teatr objazdowy jako jedna z form działalności teatru prowincjonalnego, gdy dotrze do powiatowego miasta czy nawet wsi (raz czy dwa razy do roku) nie jest w stanie spełniać tu jakiegokolwiek określonego, ciągłego akcji kulturalno-wychowawczej. Jego zadaniem jest inne, mobilizuje on zainteresowanie środowiska dla teatru w ogóle, dla lokalnych zespołów amatorskich jest wzorem poprawnej gry, dla nich właśnie może być szkołą, doradcą, patronem. Dlatego w zdziwieniu wprowadza mnie sformułowanie Byrskiego, że „Teatr prowincjonalny ma jeszcze inne zadanie. Tworzywo przekazywane z centrum musi być rozprzeczane, musi docierać do WIDZA WIEJSKIEGO (podkreślenie nasze — M. K.) w postaci widelnic niezapęglonego artystycznie”. Stąd autor wysnuwa konieczność OBJAZDOWOŚCI i to z nienagannym wyposażeniem technicznym, bo przecież według niego ZESPÓŁ WYSTĘPUJĄCY NA WSI MUSI BYĆ NIE GORSZY niż w stolicy. Jest to fantazyjne postawienie sprawy, świadczące o tym, że w rozumowaniu autora wkradło się za dużo propagowanej przez niego „zapalczywości”, wypierającej niestety poczucie rozsądku. O takim toku rozumowania zdecydowała „teoria kultury” jako przedmiotu do „wymakowania”. Nie jest dobrze, gdy zapal przeradza się

w demagogię, choćby dyskutantem kierowały najlepsze intencje, nie wątpimy, że Byrski je ma. Rezultaty wtedy są zgola nieoczekiwane, w wypadku naszego dyskutanta — absolutnie błędne rozumienie funkcji — TEATRU AMATORSKIEGO.

Ukoronowaniem tego błędnego stosunku do teatru amatorskiego jest następujące sformułowanie autora: „Z teatrem amatorskim jest tak jak ze sztuką ludową. TRACI ON SWOJĄ SPECYFIKĘ (podkreślenie nasze) w orbie zbyt wyraźnej ingerencji profesjonalizmu. JEJ CECZA CHARAKTERYSTYCZNA I NAJCENNIJSZA JEST — SAMORODNOŚĆ” (podkreślenie nasze — M. K.) Nec plus ultra! Oto najbardziej klasyczna w burżuazyjnym stylu rogata kulturalna między wsią i miastem, mająca zresztą swoje święte tradycje. Pozostawmy więc własnemu rozwojowi, zróbmy z niej rezerwat, bo tylko wtedy „możemy się do niej zwracać jak do ożywczej źródła, które nas zasilą, jeżeli wyczuwamy zastój w teatrze zawodowym”. Nad tym zdaniem unosi się duch Popławskiego i Witkiewicza. Pasowaloby ono znakomicie na szpaltach „Głosu” przed 60 laty, gdy właśnie ideolog burżuazyjny zależał wówczas na samorodnym tylko rozwoju wsi, ale że dzisiaj straszny on czytelnika ze szpalat czołowego literackiego organu — pozostaje nam tylko wyrazić nasze ubolewanie. Na szczęście nie stawiamy dziś na samorodność i żywiołowość w kulturze. Cienimy sobie natomiast fakt, że procesami kulturalnymi w dzisiejszej Polsce kieruje się świadomie tak wobec miasta jak i wsi.

Maciej Koliba

J. RUDZKI

W OCZACH AMERYKANINA*)

Nie trzeba wyjeżdżać wcale na Festiwal do Budapesztu, żeby wiedzieć, co myśli młody Belg o swych amerykańskich opiekunach.

Ale na wystawie młodzieżowego Festiwalu, który właśnie odbył się w stolicy Węgier każdemu z nas długo

utkwiał w pamięci barwny fotomontaż z belgijskiego stoiska: amerykańskie luksusy — elegancki wóz marki „Cadillac”, butelka „znakomitego” napoju coca-cola, papierosy Chesterfielda roznegliżowana girls na tle czerwonej krzywej, która wznosząc się ku górze oznacza liczbę młodych bezrobotnych Belgów; wzrasta ona ustawicznie ze zwiększającą się ilością towarów „Made in USA” zalegających półki belgijskich sklepów. I w tym tkwi tajemnica, że tak gwałtownie maleje w Europie liczba ludzi, którzy wyrzyliby, że panowanie wujaska Sama u nich w kraju oznacza dobrobyt.

Polityka idzie wiernie w ślad za interesami tych, w imię których Francję czy Włochy rozzdzierała fala strajków i w imię których francuski czy włoski student po ukończeniu uniwersytetu walczył się bez pracy. Ale, że świadomość społeczna i niezadowolone rośnie szybko i dużo szybciej niż możliwości przekonania, że w interesie owej leży pożarcie jej przez wilka — trzeba organizować wojnę; sens jej wyznacza nie tylko pragnienie podporządkowania całego globu ziemskiego wraz z jego mieszkańcami potentatowi USA, ale w dużym stopniu chęć odwrócenia uwagi mas pracujących i Ameryki i krajów obecnie Stanom Zjednoczonym podległych od ich właściwego wroga.

Wielu Amerykanów a wśród nich dziennikarz amerykański Johannes Steel zdaje sobie dobrze sprawę, że szantaż i polityka wojny to nie tylko kontynuacja hitlerowskich planów podboju świata. Niemcy wczoraj miały być narzędziem polityki anglo-amerykańskiego kapitału w Europie; Niemcy dziś — chcieliby tego bardzo nowojorscy giełdciarze — mieliby odegrać podobną rolę, gdyby na przeszkodzie oczywista nie stała ciągła wzrastająca w siłę ruch robotniczy i gdyby wzór reform społecznych przeprowadzony na terenach obecnej Niemiec Republiki Demokratycznej nie zarażał mas niemieckich żyjących pod panowaniem anglo-amerykanów.

Właśnie o tym pisze odważny publicysta Johannes Steel w zbiorze artykułów wydanych p.t. „Polityka USA w oczach Amerykanina”; beztłonie demaskuje on oblicze obecnych wielkocorządków USA; jest to widomym dowodem, że opinia publiczna społeczeństwa amerykańskiego mimo tub propagandowych Hearsta czy McCormicka nie jest bynajmniej jednolita i w całości nie aprobuje odbudowy Zagłębia Ruhry — militarnej bazy Niemiec, które było dotąd i gospodarczym i społecznym źródłem niemieckich agresji, ani nie aprobuje paktu atlantyckiego ani berlińskiej hecy. Steel demaskuje wojennych podżegaczy cytując ich własne słowa. John O'Donnell napisał w waszyngtońskim „Times Herald”, 31 marca 1948: „...teraz zając się musimy sprawami wojskowymi w Niemczech. Pomimo zaprzeczeń ze strony pewnych kół, opracowane zostały już plany do powołania do życia niektórych walecznych niemieckich dywizji pancernych i SS...”

Niemcy zawsze dobrzy żołnierze, chętniej będą walczyć przeciwko swym historycznym wrogom, Mongołom-Słowianom wschodniej Europy, niż przeciwko pokrewnym narodom zachodu: Skandynawom, Brytyjczykom, Amerykanom i Francuzom... Wiele lat temu zwracaliśmy uwagę, że Roosevelt postawił na złego konia w tej wojnie — że lepiej, żeby kontynent europejski — jeśli chodzi o interesy Ameryki znalazł się pod panowaniem niemieckim, niż pod panowaniem Stalina”.

Tymi oto środkami urabiają gazetowe monopole amerykańskie naród, na opórach którego nie idą na faszyzację kraja czekają procesy i więzienia. Mimo to Steel w artykułach swo-



A. Wartanow — Dzieciarnia Wiejska

WŁADYSŁAW LESZCZYŃSKI

APOLOGECI CZANG-KAI-SZKA

Reakcyjny galop Tygodnika Powszechnego — zwykle zanosi go na manowce. Rozwój wypadków coraz częściej demaskuje właściwe oblicze organu Kurii — Krakowskiej. Czy np. Tygodnik Powszechny ośmieliłby się dziś w chwili radosnego zwycięstwa sił ludowych w Chinach drukować apologię skompromitowanego Czang-Kai-Szeka.

A jednak w niedalekiej przeszłości pozwalał sobie na bezkrytyczne zachwyty nad osobą kuomintangowskiego zbrodniarza wojennego.

Być może dziś ten numer Tygodnika — redakcja schowała pod ewangeliczny korzec. Pomóżmy więc jej odszukać.

Oto co pisze p. Strebejko w numerze 18 Tygodnika Powszechnego z dnia 4.5.1947 r. w artykule p. t. „Mowy Generała”, „posługując się wyjątkami z mów Czang-Kai-Szeka (którego z uniżeniem tytułuje generalissimusem) drapując go w togi wielkiego humanisty obrocy pokoju, godności ludzkiej i najszybciej szych wartości moralnych...”

„Czang-Kai-Szek jest nie tylko politykiem i wodzem wojska. Jest on również głębokim moralistą i intelektualistą wysokiej klasy... Czang-Kai-Szek jest też chrześcijaństwem, protestantem.

W jakiej więc mierze można go uważać za reprezentanta narodu chińskiego, który w większości swej nie jest chrześcijańskim? Starałem się już powyżej wykazać, iż przywódca narodu musi być też jego przedstawicielem, musi odzwierciedlać i wyrażać nurtujące w szerokich masach tendencje. Piszący o Czang-Kai-Szku znawcy tematu utrzymują, iż dąży on do utrzymania nie tylko jedności politycznej Chin, lecz również ich kulturalnej integralności, na którą w jego koncepcji składają się masy konfucjańska tradycja i chrześcijaństwo”.

Publicysta katolicki w kreśleniu postaci politycznego i ideowego adherenta, jednego z najpoważniejszych właścicieli kapitalistycznych przedsiębiorstw na terenie Chin, nie okazuje się nowatorem stosując starą sztukę watykańskiego kamuflażu, która milionowe interesy dolarowe kościoła na różnych szlakach świata nazywała i nazywa obroną chrześcijańskiej kultury i wolności człowieka. P. Strebejko pisze na odmianę o obronie kulturalnej integralności, na którą składają się konfucjanizm i chrześcijaństwo. Dochodzi do tego konieczność utrzymania politycznej jedności, która nie może być inaczej rozumiana, jak jedność „demokracji” burżuazyjnej w uciskaniu mas pracujących.

Ale czytamy dalej: „W zestawieniu tym nie ma zasadniczej kontradykcji... Zresztą, jeżeli generalissimus inspirowany przez prawdy swej wiary głosi potrzebę niestanęcej pracy wewnętrznej i doskonalenia się zarówno jednostki jak i narodu, to jest w zgodzie zarówno z Chrystusem jak i z Konfucjuszem kwieciste nauczającym”.

Ostatni cytat dowodzi, że kwiecistość łączy p. Strebejko na polu „Konfucjuszem, czego wyrazem tak piękne i wnikliwe sformułowanie motywów polityki generalissimusa. Inspirowany przez prawdy swej wiary (jak pisze p. Strebejko) prowadzi generalissimus wojnę z chińską Armią Ludową, wojnę przegraną dla rodzimej i amerykańskiej burżuazji.

I jeszcze dwa zdania dla charakterystyzowania łączności i dobrych apetytów watykańskiego imperializmu:

„Poglądy chińskiego wodza i reprezentowane przezeń wartości moralne nie są bez interesu i znaczenia dla tych wszystkich, którzy wyznają i głoszą zasadę chrześcijańskiego uniwersalizmu. Odniesienie nawyki sprawiają, iż mówiąc o chrześcijaństwie mamy na myśli przede wszystkim Europę, a najwyżej kraje zamieszkałe przez ludzkie rasy białe. Opublikowane przez francuskich benedyktynów i w artykule tym powtórzone wiadomości dowodzą czego innego. Oto najliczniejszy a w masie swej pogański naród świata podany jest samorodnej tendencji, która jest chrześcijańska, a głoszącego ją człowieka uznaje za swego naturalnego przywódcę”.

Oto chiński - watykański bigos, w którym Pius XII, a za nim organ kurii biskupiej chciałby widzieć wolny lud chiński, ostatecznie wyzwalający się z władzy swych „naturalnych i odwiecznych” kapitalistycznych przywódców.

Władysław Leszczyński

MARCIN FURMANEK

MURZYŃSKIE BAJECZKI

W numerze 40 Tygodnika Powszechnego znajdujemy artykuł p. zms poświęcony zagadnieniom murzyńskim i to nie misyjnym, lecz materialnym. Chodzi o to jak poprawić los Murzynów.

Oczywiście jak przystało na pobożną idealistkę pani zms nie szczędzi też przy przedstawianiu niedoli biednych czarnych ludzi.

Ogólny ton artykułu jest jednak optymistyczny. Nędza murzyńska skończy się. Problem kolonialny został bowiem pomyślnie rozwiązany przez niejakiego księdza Bogandę, co prawda na razie dopiero... na łamach francuskiego „Vie intellectuelle”. Ksiądz Boganda dokonał mianowicie fenomenalnego odkrycia, że „trudności kolonialne”, jak delikatnie nazywa nędzę i wyższość tubylców, sprowadzają się zasadni-

czo do kwestii ekonomicznych. Wyobraźmy sobie jakiego hałasu uczyniło to odkrycie w świecie mgieł mistycznych. Ale cóż to za ekonomia?

Epokowe i naprawdę pionierskie znaczenie mają środki, które ksiądz Boganda zaleca dla poprawy sytuacji. Otóż zdaniem jego chodzi przede wszystkim o to, by każdy czarny „rozumiał, że większym wysiłkiem może polepszyć swój los”. O co tu chodzi? A no jasne. Murzyni za mało pracują... na plan tatora. Trzeba ich popędzać. Najlepiej to robi kler tubylczy. Więc हुआ!

Nie dziwimy się księdzu Bogandzie natomiast dziwnym się pani zms. Czyżby miłosierna pani naprawdę wierzyła, że wystarczy np. trzy razy większego wysiłku fizycz-

nego ze strony Murzyń, by rozwiązać problem jego sytuacji materialnej? Rebus się stantibus?

Jeśli się pisze o zagadnieniach społecznych i ekonomicznych, trzeba ustąpić z mistycznego księżycza na ziemię. Inaczej nie da rady. A najlepiej, zgodnie z tezą miłosierną pani, nie parać się rzeczami o których się nie ma pojęcia.

Zdając sobie sprawę z trudności poprawienia położenia Murzynów, pracujących na rzecz kolonistów, ksiądz Boganda wpadł na doskonały pomysł. Proponuje Murzynom założenie spółdzielni produkcyjnej. Nie ma co, dobrze pomyślane. Szkoda tylko, że propozycja księdza Bogandy nie ma nóg. W warunkach kapitalistycznych nie da rady, prosić pani! Jak sobie pani zms wyobraża zrealizowanie tego pomysłu? Murzyni wyczerują przemysł, czy może wykupią go z rąk białych? A może zakłady przemysłowe są im nie potrzebne i wystarczy spółdzielcze uprawianie orzechów ziemnych w rytym gongu bum bum bum?

Ksiądz Boganda marzy: kobieta wa i możliwości rozwoju pracy muwa i możliwości rozwoju. Raca musi być absolutnie wolna! Kolonia nie powinny być źródłem dochodu, tym mniej eksploatacją. Raczej powinny być terenem inwestycji i pomagania ludom stojącym na niższym poziomie.

My też sądzimy, że powinny. Niestety, inaczej sądzą i będą do końca sądzić eksploatatorzy kolonialni. Jeśli nawet w Ameryce w ciągu niemal stu lat po formalnym zniesieniu niewolnictwa nie potrafili dobrego biali panowie zrealizować ani jednego z postulatów księdza Bogandy, jakie mamy, miłosierna pani, prawdomówność? Będzie inaczej w Afryce? Zadnie!

Pani zms rozumie przecież, że kulturalny, zamożny, cywilizowany Murzyn powinien być przysłówiowym „Murzynem” — zwierzęciem roboczym, a staje się człowiekiem. A cóż białym panom z gieldy po Murzynie - człowieku w kolonijach? Murzyn kulturalny, Murzyn cywilizowany to przecież tragedia dla imperialistów, to koniec kolonii!!!

Zamiast więc marnować papier i czas (którego podobno tak mało ma pani zms) na bajeczki o doli Murzynów, lepiej być miłosierną pani zms zainteresowała się jak sprawa narodów upośledzonych niegdyś przez kapitalizm została rozwiązana w azjatyckich republikach ZSRR. Zobaczyłaby pani i ludzi kulturalnych i mieszkających w zdrowych mieszkaniach i ludzi, których praca jest zupełnie wolna. Zobaczyłaby pani jak rozwijają się realnie kooperatywy.

Niestety (dla pani zms) będą to republiki socjalistyczne. Pani zaś chce, żeby wszystko odbyło się w sposób transcendentny, metafizyczny-spontaniczny, jako wynik spowiedzi św. wszystkich wyższych.

A że innej drogi nie ma, to (tłumaczy sobie) już nie jego wina i uspakaja się.

OJCIEC PIERWSZEJ REPUBLIKI

Dokończenie ze str. 11

Revolucja, jaka wybuchła w Niemczech bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej, wzbudziła w całym narodzie, wyjąwszy wielkich przemysłowców i narodowców, duże nadzieje.

Ale „Revolucję czyni się w Niemczech z góry” — skarżył się Henryk Mann, widząc jak samorodny zryw klasy robotniczej i zdemobilizowanego wojska skierowany został z premedytacją na wąskie tory legalizmu i reformizmu przez „działaczy robotniczych” w rodzaju Fischera.

Revolucja niemiecka rychło zagasiła w morzu gadaniny i reform oraz w krwi mordowanych komunistów przez oddziały „socjaldemokratów”. Henryk Mann szybko dostrzegł, że ustawy konstytucyjne nie są przestrogami. Szybko dostrzegł cienie, skradające się chyłkiem, aby władzę w republice niemieckiej uchwycić w swoje ręce. Alarmuje więc dalej. Dalej ostrzega. Pisze, przemawia, przekonywa: „Wolność myśli znowu staje się problemem. Już dzisiaj niektóre poglądy ścigane są sądownie. Konstytucja zezwala na nie, ich polityczni przedstawiciele zasiadają w parlamentach, ich zwolennicy w kraju nie mogą jednak ani swych poglądów wyrazić, ani ich reprezentować bez obawy uwięzienia. Pytanie, czy mieszczańskie pojęcie wolności jest jeszcze aktualne, w praktyce przestało być istotne. Brakuje jeszcze tylko wyraźnego zezwolenia władz oficjalnych na wprowadzenie faszyzmu”.

Henryk Mann, piętnując ustawiczne nawroty reakcji w Niemczech, nie pomija jednak jego protesty. Nie pomaga największe głosu oburzenia. Jeszcze gonia za nim śpiewy bojówek nazistowskich, świętujących swój triumf, jeszcze ścigają go oświeczone nawiązania radia niemieckiego, a on już zaczyna organizować opór demokratów niemieckich poza granicami swojej ojczyzny.

W pierwszych dniach po klęsce

Mann w „Słowie do Berlina” do Niemców: „...musicie zrobić rewolucję. Lud, który zdobył własny kraj i go uwolnił, nie potrzebuje obcych wojen. Wolny naród nie chce podbić innych narodów”.

Nie poznaliśmy rewolucyjnych przekonań Henryka Manna, nie nasiłteliśmy jego stosunku do Związku Radzieckiego. Henryk Mann nie był komunistą. Daleko mu było do marksistowskiego pojmanowania dziejów. Pomimo to całą duszą stał zawsze po stronie postępu, wierzył w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości społecznej i dziejowej. Przebywając już w dalekiej i słonecznej Kalifornii, z zapartym oddechem śledził postępy Armii Radzieckiej na froncie wschodnim. „Armia Radziecka — pisał — to robotnicy i chłopci, którzy pozostają robotnikami i chłopami także w mundurach. Nie żąda się od nich, aby zapomnieli swego pochodzenia socjalnego z chwilą, gdy stali się żołnierzami. Nie przysięgają wierności interesom innych ludzi, gdy raz już przysięgli wierność swojemu krajowi. Państwo — to oni!”.

„Sympatia dla Związku Radzieckiego w Niemczech była szeroko rozpowszechniona — pisał w innym miejscu — zrozumienie dla rewolucji, żądza, aby zbliżyć się i zrozumieć największe wydarzenie wieku ogarniała nie tylko komunistów”.

Widział w Związku Radzieckim świat, który nastąpi: za śmiertelne schorzenie epoki uważał antykomunizm. „Związek Radziecki kołam pełną miłością — mówił wprost — On jest mi bliski, a ja jemu. On czyta mnie masowo, a ja patrzę na niego, jak gdyby był już światem przyszłości, który mnie poznał”. Pochodziła ta słowa z ostatniego okresu: dopiero bowiem po doświadczeniach drugiej wojny światowej nastąpiła w Henryku Manna przemiana z przyjaciela Wielkiej Rewolucji Francuskiej w przyjaciela Związku Radzieckiego.